# ŚWIAT DZIEWCZĄT

cena 40 gr.



N 3

# Najbliższe Serce

Właściwie, istnieją dwa: jedno — to ważniejsze, to odświętne, o którem mówi się zawsze poważnym głosem, z największym szacunkiem, z największą solennością, to serce Matki. Na ten temat pisano już dużo i pięknie, ale nawet bez pisania każda z Was i każda z nas wie doskonale, że to jest wielka rzecz, o której nie można mówić lekkomyślnie, ani żartobliwie, ani „tak sobie", tylko ze wzruszeniem.

Ponieważ jednak chcemy dziś mówić raczej o sprawach błahych, i raczej z uśmiechem niż ze wzruszeniem, więc pomówimy dziś o innem najbliższem sercu, t. j. o przyjaciółce.

Tego typu „najbliższe serce" wyrasta nam zazwyczaj pod bokiem, po lewej, albo po prawej stronie pulpitu szkolnego i trwa, z początku jakby niezauważone. Ot, siedzi obok istota w białym kołnierzyku, przepisowym fartuszku, z kosmykami włosów, wymykających się uparcie z pod bezradnej, jak zwykle, klamerki. Istota ta nabiera rysów i charakteru, dopiero po jednej, drugiej, „zasadniczej" rozmowie, na temat ślizgawki, trudnego zadania, lub świeżo przeczytanej książki, i wtedy odrazu się już czuje: wróg czy przyjaciel, bratnia dusza, czy też zwyczajna buła.

Taka wstępna rozmowa, ewentualnie parę rozmów to już mały supełek, koło którego dzień za dniem oplątuje się nitka przyjaźni, coraz trwalsza, coraz mocniejsza, aż wreszcie pewnego dnia, po jeszcze jednej „od serca" rozmowie, okazuje się, że mamy przyjaciółkę, która gotowa jest dzielić naszą dolę i niedolę, zawsze, do końca życia i na której się nigdy nie zawiedziemy. Z tem „zawodzeniem się" bywa często różnie, bo serce ludzkie jest zmienne, narazie jednak wpisujemy do pamiętnika przyjaciółki wzniosłą sentencję, w rodzaju — młodości, ty nad poziomy wylatuj — ona również coś w tym rodzaju, i zaczyna się „współżycie". Na nasze przyjaźnie dziecinne ze wstępnej, czy pierwszej klasy patrzymy już dziś z dobrotliwem pobłażaniem, jak na sprawę niegodną uwagi: przyjaźnie dziewczęce, te które obecnie nas zajmują, są dla nas jakiemś przedziwnem dopełnieniem życia, bez których przeżywanie codziennych trosk i radości byłoby nie do pomyślenia. W chwili wielkiej radości, spowodowanej miłem zaproszeniem, dobrze zrobioną suknią, lub udanem wypracowaniem, pierwszą naszą myślą jest podzielenie się tą wieścią z przyjaciółką. Telefon, bilecik, lub odwiedziny, na które pędzimy bez tchu, aby dopadłszy wreszcie bramy, schodów, mieszkania, wykrzyknąć zadyszanym głosem: wyobraź sobie, że... Jak przyjemnie jest odnaleść w oczach „bratniej duszy" odbicie tego samego płomienia zapału, w którym same spalamy się bez reszty, jakże rozkosznie odczytywać na twarzy przyjaciółki zachwyt, zdumienie, lub wzruszenie, wykwitające stosownie do opowiedzianej przez nas sprawy. Znamy wszystkie tego rodzaju przeżycia, ale pamiętajmy o zasadzie, że — nic darmo! i że, gdy zadźwięczy nam w telefonie głos przyjaciółki, błagającej:

— Przyjdź dziś koniecznie, bo mam zmartwienie.

Nie można pod grozą jej wieczystej pogardy odpowiedzieć:

— Nie przyjdę.

Wszelkie projekty wieczorne, jak kąpiel, mycie głowy, wizyta, kino, czy nawet błogie, a jak rzadko przychodzące zamiary stuprocentowej pilności, muszą odejść w kąt, bo „ona" wzywa, bo „ona" ma zmartwienie.

Możliwe, że nic nie pomożemy, ale sama nasza obecność zatamuje łzy i doprowadzi choćby do ubolewań nad własnym losem, co się niekiedy równa prawie że pocieszeniu.

Zwierzenia, płynące o zmroku, w rogu wysiedzianej kanapy, przerywane gorącemi łzami i równie gorącemi pocieszeniami, mają zdolności łączenia ludzkich serc na długie lata. Często, jakże często przyjaźń taka przetrwa lata szkolne, lata pracy zawodowej, lata zupełnej dorosłości i nawet starości.

Nie zawsze jednak przyjaźń przerasta lata na nią jedynie przeznaczone. Czasem, to, co uważamy za rdzeń życia, okazuje się tylko małym epizodem, który zostawi po sobie rozgoryczenie i zniechęcenie. Nie trzeba tych rzeczy brać za mocno do serca, bo cóż jest warta przyjaciółka, która może odejść ze względu na drobne nieporozumienie, przeoczony savoir-vivre, lub brzydką zazdrość. Pierwszym punktem nieporozumienia jest zwykle obraza, zerwanie, bez nawiązania ponownych, dyplomatycznych stosunków. Jeszcze gorsze jest powolne, ale stałe oziębianie się przyjaźni. Powody oziębiania są zazwyczaj o wiele subtelniejsze, aniżeli powody obrazy, czasem jest to kwestja nieodwzajemnionego zaufania, a czasem wyczucie, że oto więcej się daje aniżeli odbiera. Jest to szczególnie przykre uczucie, i jedynie możliwe do zniesienia dla typów raczej biernych i mało wymagających, dla których „poświęcanie się", jest największem szczęściem. O wy „oddane", „wierne przyjaciółki!" Widzę was, wasze dobre, słodkie twarzyczki, uprzejme gesty, wasze z serca płynące uśmiechy. Zatracacie się w tej przyjaźni, zagubiacie swoją własną radość na rzecz radości innych, zapominacie o sobie!

Ślęczycie nocami nad ćwiczeniami „tamtych", patrzycie z kąta w salonie z z rozkoszą na „ich" zabawę, bierzecie za nie bury i nagany i uważacie, że jedynie spełniacie swój obowiązek. Dla siebie nie żądacie nic, i dla tego jesteście wzruszające i dlatego, te rozważania o przyjaźni i o przyjaciółkach kończę okrzykiem na waszą cześć, wy ciche i najwierniejsze!

*Zawiślanka.*

## HALA SIĘ ŚPIESZY

— Ładna heca! Na jutro matematyka, polski, historja, francuski. Kiedy ja to zrobię? Na ósmą umówiłam się z Dzidzią do kina. Potem muszę umyć głowę. Potem skończyć książkę. Potem zapakować wszystko do szkoły. A tu jak na złość obiad się spóźnia. Marysiu!!! Bo umrę i już mnie nie będzie.

— Zaraz, zaraz! Już się duchem robi!

— Świetna ta pomidorowa zupa! Proszę o jeszcze. No — nie kop się, Tadek, bo wyleję zupę z talerza a ciebie z pokoju.

— Ja nie siebie kopię, tylko ciebie.

— Szkoda. No, będziesz jeszcze zaczynał?

— Kiedy ja właśnie chcę skończyć. Muszę być przecież systematyczny.

— Dzieci, nie kłoćcie się — mówi mamusia. — Jedzenie przy sprzeczce nikomu nie idzie na zdrowie.

— My tylko dla zaostrzenia apetytu.

— Nie widzę, żeby był stępiony — na szczęście. No — co teraz będziecie robić?

— Ja biorę się do lekcyj — mam strasznie dużo. Tylko poleżę sobie pół godzinki — tak się najadłam — można, mamusiu?

— Naturalnie, dziecko, to bardzo zdrowo.

Hala z czystem, usprawiedliwionem higieną sumieniem poszła do swego zacisznego pokoju z drugim tomem „Jaremki i Hamleta" i wyciągnęła się wygodnie na tapczanie.

Ten bibułkowy abażur już wygląda jak ostatni łapikurz. Trzeba się zabrać do zrobienia nowego z tej letniej zielonej bluzki, która i tak spłowiała na plecach.

Jak przyjemnie jest tak leżeć i przeżywać straszliwe emocje biednego Jaremki. Darują mu tę winę czy nie darują? Jakże okrutnie chowano wtedy dzieci. Nic im nie było wolno.. Tak miękko sączy się światło lampy.

— Halu?

— Co, mamusiu?

— Wspominałaś, zdaje się, że masz dużo lekcyj. Już jest piąta — a masz przecie iść do kina. Nie możesz robić zawodu Dzidzi.

— Zaraz, zaraz, mamusiu, właśnie jestem w najciekawszem miejscu.

— To dziwne, że w którejkolwiek wam się przerwie, zawsze okazuje się najciekawsze...

— Rzeczywiście, że się tak jakoś składa, mamusiu, ale już tylko do rozdziału.

— Moje dziecko, ja cię nie zmuszam, tylko mi żal twego kina. Potem będziesz zła sama na siebie. Zasiedzisz się w nocy, a rano...

— Już, już kończę mamusiu...

Po godzinie Hala z poczuciem spełnionego obowiązku zamknęła skończoną książkę! Spojrzała na zegarek. Rety! już szósta. Zostały tylko dwie godziny. No, ale teraz weźmie się ostro. Jednym susem znalazła się przy stoliku. Z pękatej teczki wypadły wyciągane książki i kajety. Ładny kwiat! Zadania algebraiczne leżą sobie spokojnie w pulpicie szkolnym. Ale od czego telefon. 9.. 86 — Dzidzia?

— Tak, to ona.
— Natychmiast dyktuj zadanie z algebry, bo nie zdążę.
— Ale masz je przecie na 128 stronicy.
— Głupia jesteś. Zapomniałam książki w klasie.
— To ty jesteś głupia, że zapomniałaś, nie ja. Słuchaj:
2 x ²....
— No już siadam i biada temu, kto się ośmieli... ...Gdzież to złe duchy zapchały pióro. Tade-e-e-k!
— Czego takie wrzaski wyprawiasz Haluniu? — Nie wiesz, że Tadek jest na ślizgawce?
— Jemu tylko lód w głowie zimą, a woda latem. Zabrał mi pióro!
—Przeciwnie, to on się gniewał, że ty mu zabrałaś. I miał rację: zielona obsadka była jego a czerwona twoja...
Tupot nóg odezwał się aż w kuchni.
— Jak Marysia mogła zabrać moje pióro. Palcem będę pisać zadanie?
— Sama panienka tu rzuciła swoje pióro. Przy robieniu rachunków.
— A, prawda.
No, już się siedzi. Zobaczmyż sobie to zadanie... Znowu ten obrazek na ścianie się przekrzywił. Trzeba naprawić. O, teraz dobrze. A jaki nieporządek w szufladzie. Trzeba to sobie trochę ułożyć. A teraz wynieść ten stos śmieci do kuchni.
— Marysiu — a co będzie dziś na kolację?
— Kluseczki!
— A z czem?
— Z szynką.
— Czemu nie z serem?
— Bo trzeba skończyć szynkę.
— A co Marysia pisze?
— List do brata.
— Do Janka?
— Tak.
— Może Marysi napisać?
— Dziękuję panience, już kończę i pewno panienka ma mało czasu.

— Prawda, mam przecież huk lekcyj. Już mnie niema.
O Boże już siódma, jak ten czas leci! Teraz już żadna ludzka siła mnie stąd nie ruszy...
— Drrrrrr....
— Hallo!
— Hala?
— Ja!
— Moja złota, ja już wszystko odrobiłam i chciałam sprawdzić zadanie. Możesz posłuchać?
— Moja Dzidzia, ja nie jestem taka zdolna jak ty. Właściwie jeszcze się nie wzięłam do lekcyj.
— Bój się Boga! A kino!
— Zdążę jeszcze. Zadzwoń później.
No tak. Teraz już się nie ruszę. Tylko napiję się wody. To elegancko jak się popija przy robocie. A jak ładnie odbija się światło w szklance. Ale właściwie lepiej byłoby...
— Mamusiu!!!
— Czego się moje dziecko tak drze?
— Niech mi mamusia zrobi czarnej kawy. Ja pracuję intelektualnie.
— O nie z tego. To bardzo niezdrowe.
— Ale to tak interesujące.
— Moja droga, dla ciebie wszystko jest interesujące, co cię odrywa od lekcyj. Jakże tam? Już ósma za kwadrans.
— O jej!!! No, ale muszę przecież umyć ręce. To tak psuje nastrój do pracy.
Drrrrrr...
— Dzidzia? Co chcesz?
— Przecież mialyśmy iść do kina! Ja już jestem ubrana!
— Chyba oszalałaś. Rozrywki jej w głowie! Przecież ja mam jeszcze tyle lekcyj!
— No, lekcyj, powiedzmy mialyśmy tyle samo!
— Tak, ale ja miałam tyle innych zajęć — obowiązki rodzinne i t. d.
— Już ja cię znam, mnie nie zbujasz. No to idę sama. Ale już drugi raz nie będę taka głupia umawiać się z tobą.

— Zawsze wiedziałam, że na ciebie liczyć nie można!
— Na mnie nie można! Czekaj, jutro rozmówimy się, jak się patrzy, bo przez telefon nie wypada i nie chcę gorszyć małych dzieci, które w tym pokoju piją mleko z bułką. Radzę ci, nie pokazuj się jutro w szkole! Dowidzenia!
Trach!
No i co teraz robić... Chyba zacznę od francuskiego. To najłatwiejsze.
*„Paris la capitale de France est située...“*
— Tadek!!
— Co chcesz znowu?
— Już cię licho przyniosło. Zatkaj buzię patefonowi. Dużo mnie to obchodzi, że „nie będzie ta, to będzie inna". Niech będzie ta sama, skoro raz się zdecydował. To nawet niemoralnie tak się rozwodzić.
— O, już jej przeszkadza. Człowiek po powrocie z wychowania fizycznego nie może się nawet umuzykalnić. I tak wiem, że nie pracujesz.
— Ja nie pracuję! Ćwiekiem tu siedzę od samego obiadu! Będzie mi tu taka druga klasa *b* wydziwiała. Zatkaj patefon, póki grzecznie proszę.
— No już się przestań drzeć! Zamykam wszystkie drzwi...
— Mamusiu!.. Jabym coś zjadła...
— Zaraz będzie kolacja. A zrobiłaś już lekcje?
— Właściwie niezupełnie. Jakoś teraz nie mam nastroju...
— A po kolacji będzie to samo. No, ale już daję. Może ci dobrze zrobią kluseczki...
— — — — — — — — — — —
12-ta! Co się dzieje z tym czasem! Zaledwie jestem gotowa z francuskim i polskim. A algebra! Trzeba jutro wstać o 5-ej — nie da rady...
I co sobie myśli to kuratorjum, żeby tak młodzież szkolną przeciążać lekcjami?

*rob.*




DZIELNA TELEFONISTKA.

Pewna skromna telefonistka, pełniąca swą służbę w Santa Cruz na Kubie, dała niedawno dowód wielkiej odwagi i przytomności umysłu.
Pewnej nocy, pełniąc swój nocny dyżur w centrali międzymiastowej, otrzymała z sąsiedniego miasta ostrzeżenie, że straszliwy huragan zbliża się z olbrzymią szybkością do Santa Cruz. Młoda telefonistka nie straciła zimnej krwi — zatelefonowała do swego narzeczonego, który natychmiast przybył do centrali i oboje zaczęli pracować niestrudzenie, bez przerwy, nie myśląc o własnem bezpieczeństwie, łączyli się ze wszystkiemi numerami w mieście, ostrzegając: — uciekajcie! Huragan idzie! — Nie ruszyli się ze stacji, dopóki nie zawiadomili całego miasta.
Wdzięczni mieszkańcy Santa Cruz, którzy prawie wszyscy zdążyli uciec przed szalejącym, burzącym domy huraganem, wystawili pomnik ku czci bohaterskiej pary.

DOWCIPNA REKLAMA.

Bob Alsworth, młody i biedny, ale utalentowany pisarz angielski, którego pierwsza powieść nie miała powodzenia, umieścił we wszystkich gazetach londyńskich następujące ogłoszenie:
„Młody miljoner, wysoki, wykształcony, muzykalny, pragnąłby poślubić pannę, podobną we wszystkich szczegółach do bohaterki ostatniej powieści Boba Alsworth'a p. t. „Co może miłość".
Rezultat został osiągnięty — pierwszy nakład książki został w parę dni rozprzedany i wydawca musiał przystąpić do druku dalszego nakładu.

FRYZURA GARSONKI ZANIKA.

Pewien londyński dziennikarz postanowił sprawdzić, ile słuszności znajduje się w twierdzeniu, że fryzura a la garçonne zanika, ustępując miejsca długim włosom.
Udał się więc w tym celu na jeden z większych dworców kolejowych w Londynie i tam zajął stanowisko obserwacyjne. Przez kilka dni notował skrupulatnie ilość pań o długiej, lub krótkiej fryzurze.
Wynik obliczeń ciekawego reportera potwierdził słuszność opinji o kończeniu się mody krótkich włosów. Okazało się bowiem, że na 300 pań o długich włosach przypada tylko 59 z krótką fryzurą.

KELNERKA DZIEDZICZY MILJONY.

Kelnerka w małej kawiarence paryskiej stała się w ciągu jednego dnia miljonerką. Babka jej, która niespodziewanie odziedziczyła po bracie swym, mieszkającym w Ameryce, ogromny majątek, rozdzieliła go umierając, między wnuczki i wnuków, przyczem każdemu z nich przypadła okrągła suma 10 milj. franków.
Oczywiście, szczęśliwy los, jaki przypadł w udziale ubogiej kelnerce wzbudził sensację w całym Paryżu.
Młoda dziewczyna jest oblegana przez dziennikarzy, chcących dowiedzieć się, na co użyje swych ogromnych pieniędzy.
Kelnerka zrobiła wszystkim niespodziankę — mimo tak nagłej zmiany warunków materjalnych, nie ma wcale zamiaru zmienić trybu dotychczasowego życia. Jedyną różnicę stanowić będzie to, że nabyła na własność kawiarnię, w której pracowała dotąd, będzie więc teraz gospodarować „na swojem". I jeszcze jedno postanowienie, które budzi ogólną sympatję dla młodej dziewczyny: mimo tysięcy ofert małżeńskich, jakie codzień nadchodzą do skromnej kawiarenki (są między niemi oferty różnych ludzi utytułowanych, sławnych, artystów i t. p.), kelnerka oznajmiła, że poślubi kelnera, z którym pracowała od paru lat.

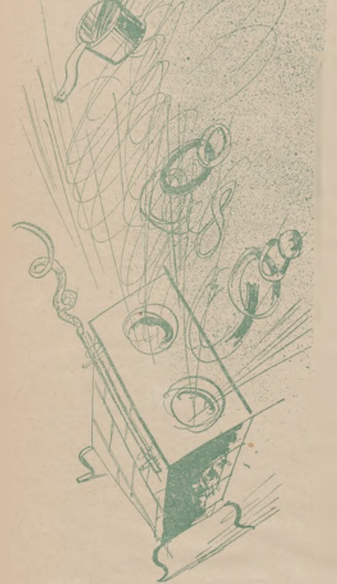
MURZYN - MILJONER.

Londyn posiada obecnie niezwykłego gościa — jest nim Mister Brown, murzyn z piękną siwą brodą, który przybył z głębi Afryki, aby poznać stolicę świata. Mr. Brown jest jednym z najbogatszych ludzi na świecie — majątek jego oceniają na kilka miljonów funtów szterlingów. Źródłem bogactw szczęśliwego murzyna są złoża diamentów i różnych innych drogich kamieni, jakie Brown odkrył na swej wyspie rodzinnej, zwanej „Wyspą Gołębią". Odkrycie to nie przyszło mu łatwo — przez kilkadziesiąt lat łaził wzdłuż i wszerz swej wyspy, grzebał we wszystkich strumykach i źródłach, aż wreszcie szczęście mu dopisało. Obecnie posiada kopalnie, w których pracuje kilkuset murzynów, oraz nieograniczony kredyt w bankach.
Trzeba jeszcze dodać, że Mr. Brown jest analfabetą i czeki, jakie wystawia nieraz na ogromne sumy, zaopatruje krzyżykiem, zamiast podpisu.

ZORZA POLARNA NA FILMIE.

Trzem skandynawskim uczonym udało się dokonać trudnego czynu, mianowicie — sfilmować zorzę polarną. Film nie oddaje wprawdzie całego przepychu zjawiska zorzy, które w naturze jest bajecznie kolorowe, niemniej przecie odkrywa jedną z najpiękniejszych tajemnic przyrody w taki sposób, że obserwujemy ją, jak żywą.







## *RAPSOD O GAZOWEJ KUCHNI*

*Panna Agnieszko! Ciociu Klementyno!--*
*Anna niema pojęcia, jak się z tem obchodzić!*
*-- kurki niedokręcone — fajerki gdzieś giną —*
*my zgotujemy obiad — cóż to ciotce szkodzi!*

*— Sz! -- Sz! — Zamknij proszę — coś tu się ulatnia...*
*Trach! Trach! — Piecyk otwarty — opadł wielki pieróg!*
*Prask! — Ostrożnie! —*
*Trach! Trach! — Co?! — Szklanka ostatnia?! —*
*Gdzie mięso? — Sól? — Gaz pachnie... A to ci dopiero!*

*Ostrożnie z zapałkami!! —*
*Bums!!! — Czarno... Dym... Piski!*
*Kłębowisko! Czad! Ogień! Żywaś? — Okopcona...*
*Fajerki poskręcane, stosem skorup — miski...*
*Siostro, kuchnia jest wielka — Siostro — nic tu po nas.*

*Siedzimy na podłodze osmalone strachy,*
*wieje do kuchni przeciąg, a po sercach smęt...*
*Trzeba umieć! W myśl biją dzikie amfibrachy:*
*EXEGI MONUMENT. —*

*H. Januszewska.*

*Rys.: Feliks Topolski*

---

# Życie towarzyskie

— Panienko, przyszedł list od pani. Położyłam go na biurku panienki.

— Pewnie mamusia oznacza godzinę przyjazdu.

Rękawiczki i teczka poleciały na kanapkę. Niecierpliwe ręce rozerwały kopertę. Twarz nabrała wyrazu radosnego skupienia.

Ale w miarę czytania brwi ściągały się coraz mocniej nad szaremi oczami, a usta wyginały się żałośnie.

Matka pisała:

„...i możesz sobie wyobrazić, moja najdroższa Janko, jaka to dla mnie wielka przykrość. Za parę dni Twoje imieniny, a mnie nie wolno wracać. Lekarze kazali mi pozostać jeszcze dwa tygodnie, ale gwarantują mi całkowity powrót do zdrowia. Wiem, że stosownie do naszego porozumienia, zaprosiłaś już gości. Pod żadnym pozorem nie wolno Ci ich odpraszać. Musisz sobie dać sama radę. Pamiętasz przecież, jak urządzałyśmy razem takie podwieczorki. Masz do dyspozycji w domu wszystko, co Ci będzie potrzeba. Tylko liczę w nakrywaniu stołu na rozwagę Twoich 15 lat! Tatuś da Ci pieniędzy, ale, niestety mniej, niż myślałam, bo będzie musiał mnie jeszcze na powrót przysłać. Ułóż więc sobie menu, zgodne z budżetem.

Będę myślała o Tobie cały ten dzień. Baw się dobrze i nie denerwuj się przygotowaniami. Tylko opanowanie doprowadzi do pożądanych

wyników. A opisz mi zaraz potem wszystko szczegółowo, wszystko..."

Dalej już Janka czytała, jak przez mgłę. Ukochanej matki nie będzie w dniu imienin! Wszystko jakoś nagle poszarzało. Goście zaproszeni i „nie wolno Ci ich odpraszać". A zostały już tylko dwa dni czasu.



*List od Mamusi...*

Będzie niemiło, jeżeli podwieczorek nie będzie taki udany, jak zwykle przy mamusi.

„Rozwaga Twoich 15..."

Janka nagle się uśmiechnęła. Matka będzie o niej myślała, wyzdrowieje, wróci znów pogodna, słodka, kochana, jak przed tą ciężką, paskudną grypą. Musi być zdrowa! Nie można jej martwić z oddali, ona taka wrażliwa, odczuje to napewno. Trzeba sobie poradzić samej.

Prędko zdjęła palto, ułożyła wszystko na miejsce, umyła ręce i poszła do kuchni.

— Marysiu, Mamusia musi jeszcze pozostać na kuracji.

— Ojej, a co będzie z gośćmi panienki?

— Ano, musimy dać sobie radę same.

— Abo to potrafimy!

— Musimy.

Po obiedzie Janka dostała od ojca pieniądze i zabrała się do układania menu podwieczorkowego:

Czekolada z kremem, tort, ciasteczka, owoce, orzechy i cukierki.

Obliczyła wszystko szczegółowo i okazało się, że wykonanie projektu jest absolutnie niemożliwe. Brakowało 10 złotych.

Skreśliła cukierki. — Ktoś napewno przyniesie — pomyślała.

Czekolada z kremem? Dlaczego tak dziecinnie? Można dać, jak na przyjęciach mamusi, herbatę i różne kanapki. Policzyła: masło, bułki, szynka, polędwica, ser, ogórki... Znów brakuje...

Położyła się spać mocno zatroskana.

Rano obudziła ją Marysia:

— Panienko, jeżeli mamy robić kanapki, to dziś muszę kupić długie bułeczki, żeby się dobrze krajały. I masło, to w ciepłe odłożę.

— Dobrze, że o tem Marysia pomyślała. Dziękuję. Przecież świeża bułka krajałaby się fatalnie. A masło teraz takie zawsze zmarznięte. Wstanę jutro o godzinę wcześniej i przed pójściem do szkoły pokraję bułki.

W szkole koleżanka obiecała pomóc Jance po lekcjach w przygotowaniu kanapek. A inna, zaproszona, podała adres prywatny, gdzie wypiekano doskonałe domowe torty, o połowę tańsze od cukierniczych (i większe).

Janka odetchnęła. Wystarczy pieniędzy i może będzie można kupić mandarynek.

W domu zrobiła rewizję śpiżarni. Grzybki marynowane i korniszony, pokrajane w paseczki, doskonale przystroją kanapki. Znalazł się jeszcze duży kawał pasztetu, który znów ratował budżet.

W dniu imienin Janka wstała rano, pokrajała bułki i przed wyjściem do szkoły zastała razem z prezentem od matki całe kilo doskonałych przeróżnych karmelków, jako „dodatek" od tatusia.

Kamień spadł jej z serca. Wracała do domu pędem razem z Haliną, która ofiarowała swą pomoc. Janka pamiętała, że matka najpierw smaruje bułki, a potem je ubiera. Zabrały się energicznie do roboty. Ale robota szła dosyć mozolnie. Kanapek było dużo, trzeba było przygotować przynajmniej po cztery na osobę. Halina się denerwowała, a Janka usiłowała zachować spokój, chociaż co chwila spoglądała na zegar.

Na godzinę przed nadejściem gości wszystkie kanapki leżały na tacy, zgrabnie uszeregowane. Janka zabrała się do nakrywania stołu, uspokojona zupełnie.

W szafie leżały obrusy, ślicznie haftowane i mereżkowane, nad któremi matka spędzała wiele miesięcy, a Janka nieraz pomagała podczas wakacyj. Nęciły oko wykwintem i olśniewającą czystością. Schowała je jednak do szafy.

— Jeszcze poplamią, a tyle zawsze z niemi roboty przy praniu — pomyślała.

Nakryła kolorowym obrusem, o żywej barwie, z farbowanego lnianego płótna. Serwetki rozłożyła papierowe, obawiając się poplamienia przez młodocianych gości. Zapasowe serwetki ułożyła zręcznie w podstawce. Brakowało bardzo kwiatów do ustrojenia stołu.

Janka przypomniała sobie, że stoi koszyk cyklamenów w matki pokoju. Potraciły liście i chwiały się dziwnie na długich ogonkach. Prędko pościnała wszystkie. Ułożyła w niskim, kryształowym wazonie, a stół zarzuciła dyskretnie gałązkami sośniny.

Ustawiła kanapki z tacą i cytrynę na kloszyku zręcznie, cienko pokrajaną. W zachwyt wprawił ją tort „domowy" duży i ciasteczka z tego samego źródła, tanie, w dużej ilości, o niezrównanym smaku.

Na kloszu piętrzyły się rumiane jabłka i niespodzianka — mandarynki, kupione za pie-



*Podwieczorek się uda...*

niądze oszczędzone na „dziecinnej" czekoladzie z kremem i ciastkach cukierniczych.

Zjawiła się Marysia ubrana w biały fartuszek i uczesana „do gości" i robiąc tajemnicze miny, przyniosła panience szarlotkę, domowej roboty (specjalność Marysi), upieczoną w sekrecie, za pieniądze, oszczędzone na kupnie produktów z pierwszej ręki.

— A niechżeż się panienka ubiera! Gości tylko patrzeć! A jak wszystko ślicznie zrobione, jakby sama pani to szykowała.

Późnym wieczorem Janka pisała:

„...Widzisz więc z mego szczegółowego opisu, jak się wszystko udało. Goście zjedli wszyściutko i nie mogli się nachwalić. Tatuś też się dziwił bardzo. Nie chcieli się zupełnie rozejść, tak było miło.

Brakowało tylko Ciebie. Ale ja Cię czułam przy sobie, moja słodka Mateńko. Wracaj zdrowa, a o mnie się nie martw. Dam sobie radę napewno.

A na przyszłe imieniny Ty będziesz moim najważniejszym gościem. Wszystko zrobię sama, a Tobie nie dam się męczyć. Mocno całuję

Twoja *Janka*".

*Marjola.*

# ŻEBY BYŁO ŁADNIE

### *Tapczany i narzuty.*

Każdy przyzna, że przy obecnych naogół skromnych warunkach mieszkaniowych tapczan jest o wiele wygodniejszym sprzętem w pokoju niż łóżko. Typowa sypialnia staje się pokojem mieszkalnym, takim, gdzie można przyjąć nawet bardziej ceremonjalnych gości.

Co robić jednak jeśli ktoś ma w pokoju łóżko i nie może sobie pozwolić na usunięcie go i kupienie tapczana? Otóż w dziewięciu wypadkach na dziesięć można je przerobić na tapczan. Chyba, że to będzie łóżko do siennika, z bokami z blachy i żelaznemi prętami na dole — z takiego nic się nie da zrobić, wszystkie jednak materacowe kombinacje nadają się do zmian.

Zacznijmy od najstarszego typu: łóżko drewniane z wysokim tapicerskim materacem. Na tapczan użyjemy sam materac, który ustawiamy na dwóch beleczkach, podpierających na całej długości węższe boki materaca. Grubość tych beleczek dostosowujemy odpowiednio do materaca i do tego, jak wysoki chcemy mieć tapczan. Można zamiast belki zrobić podpórki z 3-ch desek w kształcie korytka odwróconego do góry dnem, przyczem naturalnie deska stanowiąca denko będzie nakrywała deski stanowiące ścianki, a nie wchodziła między nie.

Jeżeli łóżko ma materac z siatki drucianej, to tak czy inaczej rama z siatką da się oddzielić. Wtedy najprostszym sposobem będzie ustawianie tej ramy na podstawach drewnianych. Najprostszemi podstawami będą skrzynki od makaronu lub innych towarów kolonjalnych. 3—4 wystarczą — duże — 2. Dostać je można w każdym odnośnym sklepie lub składzie hurtowym.

Następnem stadjum będzie rama z desek, dopasowana do żelaznej ramy siatki. Jeżeli mamy w domu warsztat stolarski, to robota nie będzie trudna: połączenie 4 desek na rogach i wzmocnienie tych połączeń trójkątami. Jeżeli możemy sobie pozwolić na polecenie tej roboty stolarzowi, to zależnie od jego sprytu i umiejętności oraz naszych finansów możemy dojść do tapczana ze skrytką na pościel. Opłaci się to jednak tylko na wsi lub głębokiej prowincji, gdzie robocizna i drzewo są tańsze. Jeżeli jednak w tej samej miejscowości jest tapicer, najlepiej zawsze zapytać go, ile u niego robota tapczana kosztuje, może się bowiem zdarzyć, że niefachowiec włoży w przeróbkę, w dodatku nieudolną, więcej pracy i czasu, przez co drożej to wypadnie niż u specjalisty.

Na łóżku, na materacu sprężynowym mamy włosiane lub z trawy morskiej 3 materace t. zw. poduszkowe (rzadziej jeden duży).

Na tapczanie materace poduszkowe nie przytrzymywane bokami łóżka rozsuwają się, może leżeć tylko jeden duży. Ponieważ przeróbki materaców dużo kosztują, radzę do poduszek przyszyć mocne tasiemki i pozwiązywać je ze sobą. Naturalnie, aby związania nie ugniatały, mogą one być pod spodem i z boków.

Teraz pomyślmy o pokryciu tapczana. Musi to być tkanina nie gniotąca się przy siadaniu.

Ponieważ zapewne nikt nie będzie chciał mieć fabrycznej tandety, tylko coś naprawdę oryginalnego i ładnego, podaję cały szereg nadających się do tego tkanin.

Najlepsze są grube, wełniane tkaniny. Kilimy są zbyt kosztowne, a wszystkie wyjątkowo tanie okazje z tej dziedziny, różne glinniańskie, kossowskie i t. p. kilimy, to pod względem artystycznym bezwartościowa tandeta, czerpiąca często motywy z niemieckich wzorków do wyszywania na kanwie. Najtańsze z tego rodzaju tkanin są huculskie „lyżnyki" — bardzo grube i bardzo kosmate, niestety jednak do farbowania wełny używa się bardzo ostrych kolorów, anilinowych, tak że kilim taki kłóci się z całem otoczeniem. Czasem uda się znaleźć „lyżnyk" z wełny w naturalnych kolorach: białej, szarej i czarnej, taki będzie wyglądał spokojnie i stanowił dobre tło do barwnych poduszek.

I to jednak wypadnie dość drogo. Może tań-

sze będzie sukno góralskie białe lub bronzowe, takie, jak się używa na cuhy.

Następnie na Podkarpaciu i wszędzie, gdzie hodują owce i znają tkactwo możemy znaleść szorstką i dość sztywną tkaninę, grubości paltowego sukna, tkaną w białe i czarne kraty. Ten rodzaj będzie pasował do wszelkiego koloru ścian [illegible]

Kto lubi żywsze kolory, może dobrać sobie kurpiowską chustę wełnianą, tkaną w kratę czerwono-szafirową, lub czerwono-zieloną.

Można też wśród wileńskich i nowogródzkich tkanin znaleźć len z wełną, co zawsze będzie się mniej gniotło niż sam len.

Tylko stanowczo nie kupujmy t. zw. łowickiego wełniaka. Piszę „t. zw.", bo tkanie pasiaków dawno już przeniosło się z chat tkaczek wiejskich, obdarzonych wrodzonem poczuciem piękna, do fabryczek, nie mających nic wspólnego ani ze sztuką ani z ludem i produkujących okropności, które tak się mają do prawdziwego ludowego tkactwa jak uderzenie pięścią w klawiaturę do harmonijnego akordu. Zresztą nawet najlepsze, stare pasiaki łowickie nie nadają się na narzuty. Jest to wzór robiony do specjalnego użytku: na suto fałdowaną spódnicę. Wtedy pasy załamują się w licznych fałdach, linje ich się gną, podkreślają sutość spódnicy, charakteryzują jej ułożenie. Te same pasy rozciągnięte [illegible] przez swą nieomylną równoległość, barburzyńskie w barwach, suche.

Pasiak w spódnicy to tkanina, która żyje, pasiak rozciągnięty, to anatomiczny preparat.

Z tkanin lnianych możemy bardzo dobre rzeczy wybrać w nowogródzkiem, na wileńszczyźnie, wogóle na całych północno wschodnich kresach. Na targach i jarmarkach dostaje się te tkaniny bardzo tanio od 1 zł. 50 gr. za metr. Wadą ich jest to, że często przędza barwiona jest taniemi, anilinowemi barwnikami które płowieją od słońca i puszczają w praniu. To też kto się dobrze nie zna na tem, niech zdecyduje się na kupno nieco (ale niewiele) drożej tych tkanin w sklepach przemysłu ludowego, które istnieją w Warszawie i Wilnie.

Kto w żaden sposób nie może kupić dobrych ludowych wyrobów, niech pokryje tapczan narzutą z flory — cienkiej wełny, używanej na sukienki dziecinne i szlafroki. Ponieważ jest to materjał metrowej szerokości, potrzeba go 6 metrów.

Trzeba go zeszyć tak, aby tworzył prostokąt 2 mtr. x 3 mtr. Można albo zeszyć dwa 3 mtr. pasy i szew wypadnie wzdłuż, albo 3 pasy po 2 mtr. i dwa szwy wypadną wpoprzek.

Całość może być albo z jednego albo z dwóch kolorów. Można przy 3-ch pasach środkowy dać inny, można każdy z 2-ch pasów idących wzdłuż podzielić na pół (wpoprzek) i dać kolory na zmianę.

Zasadniczo bezpieczniej i łatwiej będzie poprzestać na jednym i to spokojnym kolorze, tylko nie dobieranym do ściany, bo taki sam się nigdy nie dobierze, a te troszkę inne są zawsze najgorsze. Lepiej zupełnie inny.

Co do cen, to uprzedzam, że trudno będzie wykombinować narzutę taniej niż za 30 zł. Można coprawda jeszcze operować najtańszemi kocami w jednym kolorze (typ wojskowych koców), lub grubą hają szlafrokową.

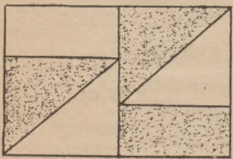
Jeżeli która z Czytelniczek coś bardzo taniego i ładnego wymyśli, niech napisze — będzie to dobra rada dla innych.

*J. Ładzianka.*

# ROBOTY RĘCZNE

## PODUSZKI

Żyjemy w czasach rehabilitacji haftu jako sztuki. Ludzie nawet mniej zainteresowani temi rzeczami zaczynają rozumieć, że bez myśli



*Nr. 5.*

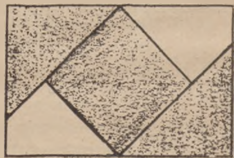
odrabianie kupionego w sklepie wzorku, który rysował ktoś, nie myśląc nieraz o technice, jaką to ma być wykonane i nie umiejący sam haftować, jest bezwartościową stratą czasu i materjału. We wszystkich zresztą dziedzinach odradzającego się rzemiosła i rękodzielnictwa triumfuje zasada, że naprawdę artystyczna rzecz powstaje wtedy, kiedy komponuje ją człowiek doskonale znający technikę. Najlepiej jeśli jest on jednocześnie wykonawcą. O takim poglądzie na haft, jako będącym u nas jeszcze nowością, napiszemy obszerniej w nadziei, że zainteresuje to nasze Czytelniczki.

Narazie stwierdzamy fakt, który podświadomie już wszyscy kulturalni ludzie wyczuwają, że wszystkie główki kobiece i końskie, czy słoneczniki, wykonane na płótnie haftem richelieu, czy maki, jak żywe, czy jarzębina z paciorków — to rzeczy, które już należą do przeszłości i już nas nie zadawalniają.

Trzeba je jednak czemś zastąpić. Poduszki wnoszą barwę w nasze wnętrze, a barwa w otoczeniu, to wprost potrzeba naszych nerwów. Pomyśleli o tem nowocześni dekoratorzy wnętrza i obmyślili, jako ostatni krzyk mody w tej dziedzinie, poduszki zeszywane z kolorowych tkanin.

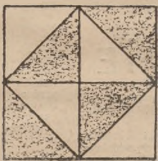
Technika jest bardzo prosta, materjał zeszywa się na maszynie. Wobec tego płaszczyzny barwne ograniczone są linjami prostemi. Kolory są dowolne: najczęściej żywe i zestawione kontrastowo, mogą być jednak t. zw. pastelowe, jeśli komuś na tem specjalnie zależy. W jednej poduszce nie używa się więcej, niż 2, a w ostateczności 3 kolory. Bardzo dobrze wychodzą kombinacje jednokolorowe przy operowaniu dwoma różnorodnemi materjałami. Np. dobrze może wyglądać czerwona poduszka zeszyta z kwadratów satin-lux i flory: materjał silnie błyszczący i matowy. Można zestawić również florę z aksamitem, czy welwetem (naturalnie gładkim, nie prążkowanym) lub aksamit i satin-lux. Nie nadają się za to do zestawień z innemi materjałami tkaniny lniane. Jeżeli decydujemy się na kolorowe płótno lub inną lnianą tkaninę, to łączymy ją tylko z lnem.

Przy materjałach silnie połyskujących (polecam satin-lux, bo najtańszy), pamiętajmy, że połysk układa się inaczej wzdłuż, a inaczej wpoprzek tkaniny. Można to wykorzystać w celach dekoracyjnych Np. w podanym wzorze kwadratowej poduszki, gdzie od środka idą skośne pasy, jeżeli materjał skrajemy tak, żeby wszystkie pasy szły wzdłuż, w środku, mimo, że cały będzie z błyszczącego materjału, wytwo-



*Nr. 2.*

rzy się ładna gra świateł, wyraźnie wyodrębniająca pasy.



*Nr. 1.*

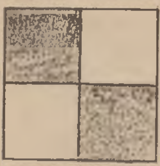


*Nr. 3.*

Materjały silnie ciągnące się w ukos lepiej używać na wzory, w których szwy wypadną wzdłuż nitek tkaniny. Wzory operujące skosami lepiej zostawić na florę (używając wtedy dwóch kolorów), florę, welwet lub sam welwet.

Brzegów takich poduszek nie wykończamy niczem, żadnych sznurów i chwastów.

Drugą stronę robimy gładką, jeśli brak nam materjału, albo lepiej zeszywamy równo — tak, aby można było poduszkę odwracać. Ta druga strona może być albo odmianą pierwszej pod względem zestawienia tkanin, czy kolorów, bądź stanowić inny wzór, ale w tym wypadku musimy dbać o to, aby połączenie tych wzorów, widziane z boku, miało jednak jakiś sens.



*Nr. 4.*

Bardzo dobrze nadają się na poduszki tkaniny ludowe, czy to t. zw. kostkowe lniane materje wileńskie i nowogrodzkie, czy kurpiowskie kraty. Łączenie tych tkanin w desenie może czasem dać dobre wyniki, ale jest już trudniejsze, gdyż operuje się materjałem, który ma swój podział wskutek tkanych ornamentów. Najlepiej takich tkanin używać na całą powierzchnię poduszki, conajwyżej jedną stronę dawać inną, niż drugą.

*J. Ł.*



# SPORT

Kolor najpraktyczniejszy a najczęściej używany — to granat. Materjał gruby — ciepły (wełniany) — niegniotący się i szorstki, by śnieg i kurz nie czepiały się.

Bluzka najpraktyczniejsza z kolorowej flanelki lub cienkiej niegniotącej się wełenki (flory), fason męskiej koszuli z swobodnemi rękawami i kołnierzykiem wykładanym i zapinanym pod szyję. Kolory żywe — ładnie wyglądają kraty, grochy — jednak kolory jasne prędko się brudzą.

Niebieski — prędko płowieje. Dobierając sobie materjał „do twarzy" liczcie się z tem, że na mrozie jest się mocno zaróżowionym.

W ciepłe, słoneczne dni będzie wam zagorąco nawet w samej bluzce — będziecie zawijać rękawy, rozpinać kołnierzyk. Ale niech tylko słońce się schowa, trzeba wciągać sweter — zależnie od temperatury: bez rękawów lub z rękawami — dlatego należy mieć dwa — niekoniecznie oba nosić z sobą — choć gdy będzie zimno wciągniecie z przyjemnością oba.

Gdy przyjdzie śnieżyca, wiatr — lub gdy w trudnym terenie zaczniecie się przewracać co krok — swetry okażą się niepraktyczne lub niewystarczające. Wiatr przewieje je — a śnieg poprzykleja się i wytworzy warstwę lodu na wełnie — ciężką i topniejącą przy ladа ogrzaniu.

Otóż na sweter lub bezpośrednio na bluzkę należy czasem naciągać wiatrówkę — t. j. bluzkę z materjału ścisłego, cienkiego, odpornego na wiatr i wodę i śnieg. Gotowe wiatrówki są robione z materjałów impregnowanych.

Wiatrówkę można zastąpić kurtką — szczelnie zapinającą się lekką, niegniotącą się.

Kurtka taka może być z wełny byle bardzo ścisłej.

Robiąc sobie strój narciarski należy pilnować się zasady: lepiej mieć dużo warstw.

W całości stroju narciarskiego należy przedewszystkiem kłaść nacisk na wygodę i praktyczność.

To co niepraktyczne — choćby ładne pierwszego dnia — po pewnym czasie pogniecie się, zbrudzi, wypłowieje ,podrze. To co niewygodne będzie wyglądać w ruchu niezręcznie — i wogóle może utrudnić nam prawidłową jazdę.

Ubranie narciarskie nie powinno krępować żadnych ruchów.

Materjały powinny być odporne — na śnieg, wodę, słońce, brud i wygniecenie.

Każdy sweter, bluzka czy wiatrówka — powinny dać się szybko zapiąć, zdjąć czy włożyć — praktyczne zastosowanie będą tu miały zapięcia błyskawiczne t. zw. ekler.

Duże kieszenie, pasek, do którego można przyczepić rękawice lub sweter — przydadzą się zawsze.

Wracając jeszcze do estetyki wyglądu, dodam, że za wiele kolorów w stroju nie będzie ładne. Spodnie i kurtka — granatowe, a włóczkowe części ubrania w jednym lub dwóch, dość żywych kolorach — to najładniejsza sylwetka.

A teraz mały kosztorys wg. cen warszawskich:

| | |
|---|---|
| spodnie gotowe | od 14 do 50 zł. |
| wiatrówka | od 16 do 30 zł. |
| 2 pary skarp. | kosz. 10 zł |
| 2 pary rękawic | kosz. 10 zł. |
| bluzka flanelowa | kosz. 10 zł. |
| Razem | 110 zł. |

Swetry, szaliki każda posiada — a jeśli nie, to może sobie łatwo zrobić szydełkiem lub na drutach, wreszcie poprosić o to babcię lub ciocię.

*B. Telakowska*



*JAK SIĘ UBIERAĆ NA NARTY*

Najważniejsze są spodnie. Fason najlepszy norweski — długie do kostek, stopniowo zwężające się ku dołowi albo równe — a w kostce przymarszczone, lekko wyrzucone i ujęte w pliskę. Żeby nie wysuwały się z butów — najlepiej przyszyć do brzegów nogawek tasiemkę w formie strzemiączka.

Spodnie powinny być gładkie, bez zmarszczek ale bardzo wygodne — nie powinny przeszkadzać przy przysiadach — wymachach nóg — raczej za duże i za długie niż zaciasne; koniecznie kieszenie szczelnie zapinane.

# NOWOGRÓDZKIE SZLAKI

Drogi te biegną w różne strony, do Lidy i do Slonimia, do Miru i do Nieświeża, wspinają się na faliste, zielone pagórki i spadają wdół, ku polom, „malowanym zbożem rozmaitem", przecinają cieniste i pachnące lasy i krążą na brzegu jezior: Świtezi lub Kołdyczewa. Czasami grzęzną w błocie nad rzeką Serweczą lub Molczadzią, czasami wznoszą się na wysoki brzeg niebieskiego Niemna, albo biegną środkiem zaścianka lub miasteczka, w którym stoją stare kościoly i domy zburzone przez wojnę. Drogami temi od lat, od wieków jeżdżą ludzie. Jeszcze Juljan Ursyn Niemcewicz narzekał na ich wyboistość i piaszczystość. Wędrują niemi pieszo lub na furach białoruscy chłopi z okolic, i zaściankowa szlachta, i zamożni panowie z białych dworów o gankach na kolumnach i z pięknych pałaców. Jeździli niemi niemieccy kupcy, i żydzi z miasteczek, i rosyjscy oficerowie, jeżdżą niemi i teraz ci sami żydzi, chłopi, i szlachta, a jeszcze i żołnierze z Korpusu Obrony Pogranicza, osadnicy, urzędnicy, nauczyciele.

Nowogródzkie drogi przebywa wciąż tysiące ludzi, pieszo, konno, wozem, wązkotorową kolejką, autem. Ale ludzie, którzy nie dotknęli ich nigdy w życiu nogą, wiedzą o nich równie dużo, jak ci, co po nich jeżdżą. Nauczyli się niemi zachwycać, powtarzać imiona miasteczek, jezior i wsi, nazwiska zamieszkujących ich ludzi, nauczyli się opiewać i wychwalać gęstwiny ich lasów, kolor nieba i zboża, pól, zwierzęta i kwiaty, wszystko — słowami jednego człowieka, który także chodził niegdyś po drogach Nowogródczyzny.

Ten człowiek wyjechał stąd przed przeszło stu laty, jako młodzieniec i nigdy już do Nowogródczyzny nie powrócił, ten człowiek umarł przecież tak dawno, w dalekim Konstantynopolu, a my dziś bierzemy jego genjalne wiersze do rąk, jak przewodnik i jego śladami, krok w krok, chodzimy po nowogródzkiej ziemi. Oto jest droga, którą jako maleńkie dziecko wieziono go do chrztu. Podmokłe łąki, gliniaste bagna i żwiry, porosłe jałowcem, płaskie jezioro Kołdyczewskie i zaścianek rodzinny Zaosie, gdzie niema już zburzonego przez wojnę świronka, tylko lipy kwitną opodal, tak samo jak za czasów dziecińtwa poety. A to jest wybielony dziś kościół farny, nowogródzki, fara witoldowa o dwóch wieżach, w którego plebanji ochrzczono w styczniu 1799 roku malutkiego Adama Bernarda Mickiewicza, i wielka oprawna w skórę księga, do której wpisano jego metrykę obok metryk wielu innych, nowogródzkich dzieci. A oto i cały Nowogródek: „zamek na barkach nowogródzkiej góry", poszczerbione mury i „śniade skorupy mchu" i niżej rynek, na którym stoją długie hale, wsparte na szeregu białych kolumn, domek, w którym podobno mieszkał Mickiewicz i klasztor, gdzie uczył się Mickiewicz i wszystkie ulice i uliczki, wąskie, zaplątane między stare dworki i kamieniczki — wszystkie ulice, po których chodzimy w ślad za Mickiewiczem.

Ileż jest w Nowogródczyźnie tych sławnych, opiewanych przez poetę, dróg i dróżek! Ku szczorsowskiej granicy idzie trakt korelicki, wśród brzezin, dębów i topoli. Jest szeroki na czterdzieści metrów, porosły środkiem trawą. To wielka droga; w roku 1812-ym, gdy Adam Mickiewicz miał czternaście lat, ciągnęły nią na wschód armje Napoleona olbrzymim falą ludzi, mundurów, armat, koni, potężny pochód, opisany po latach w „Panu Tadeuszu".



*Nowogródek — Góra Zamkowa* — *Polskie Tow. Kraj*

A to jest cerkiewka w Wołkowiczach. Za życia Mickiewicza stało w okolicach Nowogródka wiele takich cerkiewek, spróchniałych, wspartych na krzywych słupkach ganku, chwiejących się w powiewie wiatru, wśród pochyłych krzyży mogiłek. Ale my, podjeżdżając dziś do niej, wyobrażamy sobie, że to jest właśnie ta cerkiewka, w której odbywał się obrzęd Dziadów i że Mickiewicz stał przed nami wśród drzew na tym wzgórku, porosłym cząbrem, ślazem, skabiozą i tymiankiem.

A to jest znowu wieś Ruta i rzeczka Ruta, mostek, na którym złamał się w nocy dyszel woza.

„Spojrzyj, Marylo, gdzie się kończą gaje,
W prawo łóz gęsty zarostek,
W lewo się piękna dolina podaje
Przodem rzeczułka i mostek".

Jakże dobrze znamy te okolice: rzeczkę, nad którą kwitną niezapominajki, dolinę, zarośla, z pięknej ballady „To lubię", z jaką pewnością zdążamy ku niej drogą, utorowaną nam przez Mickiewicza.

A tędy, tą samą lipową aleją, co i my po latach, zajeżdżał niegdyś Mickiewicz przed pałac w Szczorsach, by spędzić tam wakacje. Dziś z pałacu zostały zaledwie ruiny porosłe chwastem, wojna rozwaliła ściany wspaniałej siedziby Joachima Chreptowicza. Niema już książek, które studjował podczas wakacji młody poeta, ani bibljoteki, gdzie kształcił się i pisał. Ale z ruin pałacu wychodzimy do parku, by tam u niemnowej odnogi pochylić się nad wodą Niemna, którą Mickiewicz niegdyś „czerpał w niemowlęce dłonie".

A to jest droga przez Peresiekę, wzdłuż strumienia Brecianki na pole walki z Krzyżakami, zwane dziś Litówką. Tędy zjeżdżała z nowogródzkiego zamku Grażyna, przebrana w zbroję swego męża. Tędy chodził napewno student — Adam Mickiewicz na podmiejskie włóczęgi.

A tą znowu drogą przez doliny i wzgórza jeździł mały Mickiewicz do swej chrzestnej matki Barbary Uzłowskiej, do Cząbrowa, szlacheckiego dworku, gdzie odbył się ostatni zajazd na Litwie... Niektórzy z badaczy literatury upierają się, że właśnie to Cząbrowo było wzorem do opisu Soplicowa w Panu Tadeuszu. Czas zniszczył wprawdzie lipową aleję i topole przed gankiem, ale ten ganek taksamo, jak za czasów Mickiewicza wspiera się na czterech białych kolumnach, w ogrodzie pachną: miód, owoce, jałowcowy dym, na którym wędzą się litewskie szynki. Mały Mickiewicz, tak samo jak my teraz, biegał pewnie po alejkach warzywnego ogrodu i sadu i patrzył z zamkowego wzgórka na dwa



*Jezioro Świteź* — *Polskie Tow. Kraj.*



*Dworek Mickiewicza.* — *Polskie Tow. Kraj.*

stawy, młyn, i rzeczkę, i drogę, i chałupy wsi w dole. Może naprawdę ten biały piękny dwór wspominał później na obczyźnie, opisując Soplicowo!

Jedźmy dalej. Droga zagłębia się w czarny bór Płużyn i teraz trzeba się już słuchać wskazówek Mickiewicza, trzeba koniecznie się zatrzymać, żeby spojrzeć na jezioro Świteź.

To pewnie tu, w tem miejscu, gdzie dziś zatrzymują się auta i stoi schronisko, gdzie błotnista droga dosięga jeziora i fala przychodzi z pluskiem na brzeg porosły szuwarem, wyłowiono z dna zatopioną córkę Tuhana z ballady i tam także Mickiewicz, jako „chłopiec piękny i młody" spotkał może prześliczną Świteziankę. Świteź! Czy naprawdę zachwycalibyśmy się dziś tak bardzo tem niedużem jeziorem, o obniżonym poziomie wód i nadbrzeżnych lasach, przetrzebionych przez wojnę, gdyby nie wieczne i wspaniałe opisy Mickiewicza. A teraz pomyślcie! Jak bardzo musiało bić serce młodego poety, gdy jechał niegdyś tamtą drogą do Tuhanowicz!

W parku stały sokory i czerwone buki, niebieskie świerki i tuje, które nazywano cyprysami, lipowa altana i dęby piramidalne. W dworze o empirowej architekturze mieszkała ukochana: Maryla Wereszczakówna, w murowance znajdował się pokój Mickiewicza. Serce biło, ściskało się, bolało. Potem Maryla poszła zamąż za Wawrzyńca Puttkamera, powstały najpiękniejsze wiersze Adama Mickiewicza. Zaś Tuhanowicze zburzyła wojna. Złotobura jaszczurka grzeje się dziś w słońcu na kamieniu, który był niegdyś progiem do domu Maryli i czerwono-fiołkowa wierzbówka kwitnie w miejscu, gdzie Mickiewicz w murowance obmyślał swe cudowne wiersze. Wszystkie prawie drzewa parku ścięły pociski. A my chodzimy po tych gruzach i wśród tych połamanych gałęzi i przypominamy sobie słowa, jakiemi opisywał ten kąt poeta i wzruszamy się tylko dlatego, że natrafiliśmy tu na jego żywe ślady.

I tak już zawsze chyba będą nas czarować i obezwładniać wspomnienia i wiersze na ziemi nowogródzkiej.

W Nowogródczyźnie było i jest dużo ludzi, tysiące ludzi poza Mickiewiczem. Umierają jedni, a rodzą się inni, pracują, kochają, cierpią coraz nowi. Dla ich potrzeb uprawia się pola i trzebi lasy, buduje szkoły i szpitale, ich ciężkie trudne życie rozrasta się po wsiach białoruskich i polskich dworach, i żydowskich miasteczkach.

Mały sklepikarz z miasteczka Horodyszcze, czy szlachecki wyrostek z zaścianka Horbatowicz, czy rolnik ruski ze wsi Radoboszcza, czy osadnik z Zaosia, często nie wiedzą, że przed nimi żył na tej ziemi człowiek, imieniem Adam Mickiewicz.

W Nowogródczyźnie jest także dużo dróg. Jedna z nich idzie do starych ruin zamczyska w Mirze, inna do wielkopańskich budowli radziwiłłowskiego zamku w Nieświeżu, jedna w stronę Wilna, a ta znów ku Polesiu, ku niskim, błotnym rozlewiskom Szczary.

Te drogi są często złe, narzekał już na nie, przed wiekiem przeszło, Julian Ursyn Niemcewicz. Te drogi trzeba naprawiać i ulepszać. Trzeba budować nowe szosy, brukować ulice wsi, wznosić nasypy żwirowe, mostki, upusty i groble. Trzeba wąskie opłotki, ciasne objazdy, błoto i piaszczysty trakt i stromą leśną drogę przekształcić w gładką wstążkę szosy. Trzeba odbudowywać przy tych nowych drogach budynki, zburzone przez nędzę i wojnę.

Może kiedyś ta praca wyda rezultaty, może czyste zasobne miasteczka, pełne szczęśliwych ludzi, wzrosną na nowogródzkich drogach. Może wszyscy ich mieszkańcy bez różnicy narodowości i wiary, podadzą sobie życzliwie ręce. Może po gładkich drogach nowogródzkich potoczą się sprawnie auta i wielkie wagony nowej kolei.

Ale nawet jeśli przyjdzie taki czas po latach, ludzie nie zapomną jeszcze wtedy czytać poetów przeszłości, nie zapomną książek, które rozsławiły tę ziemię, jej niebo, lasy i pola, obłoki i fale jezior i rzek, po wszystkie krańce mowy polskiej i po wszystkie czasy.

I każdy, kto przyjedzie po raz pierwszy do Nowogródczyzny, kraju lat dziecinnych największego polskiego poety, będzie po niej pielgrzymował właściwie zawsze tą staromodną, śmieszną bryczką, którą podróżował młody Mickiewicz do panny Maryli Wereszczakówny w Tuhanowiczach i którą wjeżdża młody Soplica na pierwszą stronicę „Pana Tadeusza".

*Hanna Mortkowiczówna.*



GASTON CH. RICHARD

# CZAR SKRZYDEŁ

TŁOM. STEFANIA HEYMANÓWNA

*(Dalszy ciąg).*

Ogień szerzył się... Suknia paliła jej ciało, a powietrze, którem oddychała, było jak sam płomień... Więc zginie tutaj, uduszona, spalona żywcem? Wyprostowała się w najwyższem napięciu woli, wolno się przeżegnała i rzekła

— Boże, ciało i duszę odduję w Twoje ręce!

Podniosła oczy ku niebu, wymieniając te słowa i nagle objawiła jej się możliwość ocalenia.

Pokój, w którym przechowywano plany, miał górne światło z okna w dachu, które było również okratowane. Ale tu kraty nie były tak gęste, a w szybie, był rodzaj lufcika, wązkiego i długiego. Należało doń dotrzeć, ażeby nie zginąć w tej pułapce, którą zaczął już wypełniać dym i płomienie.

W przeciągu paru minut, Janka postawiła lwa stoły jeden na drugim. Później wzięła kilka stołków i uformowała z nich piramidę, na którą wspięła się ze zręcznością akrobatki. Ogień objął już całe skrzydło podpalonego budynku. Zbliżające się niebezpieczeństwo dawało Jance jakąś nadludzką energię... Dotarła do szyby, którą otworzyła po wielkim wysiłku, poczem uczepiwszy się palcami za jeden z prętów, uniosła się zwolna, aż do poziomu szyby. W kilka sekund później, podrapana, z zakrwawionemi rękami, z twarzą umazaną sadzami, z opalonemi kosmykami włosów i zupełnie wyczerpana Janka położyła się, jak długa na okratowaniu, chcąc zaczerpnąć tchu.

Uniknęła niebezpieczeństwa spalenia się żywcem, ale nie była jeszcze całkowicie poza niebezpieczeństwem, albowiem płomienie pełzały już pod dachem. Na czworakach doszła do szczytu dachu i stamtąd, trzymając się komina, rozglądała się wokoło, trochę błędnemi oczyma.

Część warsztatów i biura rysowników już stały w ogniu. Ze wszystkich stron śpieszono na ratunek. Przy blasku pochodni i złowrogiej łuny pożaru wydawano rozkazy. Wszędzie pełno było strażaków, w kaskach, ciągnących węże sikawek. Policja czuwała nad porządkiem. Było to zamieszanie, gorączka podniecenia, która jednak powoli układała się w ramy karności.

Janka zawołała z całych sił:

— Do mnie! Na pomoc! Ratunku!...

Usłyszano ją.

Strażacy wiązali drewniane drabiny, w oczekiwaniu wielkiej drabiny automatycznej. Jeden z nich, owiązawszy się linami, zaryzykował wejście po drabinie, która uginała się pod jego ciężarem. W ten sposób dotarł do brzegu dachu i rzucił linę Jance.

— Proszę przywiązać ją do komina!... krzyknął. — Niech się pani śpieszy.

Usłuchała. Otoczyła komin sznurem, który zabezpieczyła dwoma węzłami. Strażak pośpiesznie umocowywał drabinę.

— Prędko, teraz do mnie! — krzyknął.

Janka, rozpostarłszy ramiona, dla utrzymania równowagi, zaczęła schodzić po spadzistości dachu. Tłum, drżący ze wzruszenia, śledził jak się posuwała, aż dotarła do strażaka, który chwycił ją w objęcia. Dziewczyna trzęsła się, do cna wyczerpana nerwowo. Strażak podtrzymał ją, aż do chwili, gdy postawiła nogę na drugim szczeblu drabiny.

— Dobra! Teraz już pójdzie... Niech pani schodzi — rzekł. — Trzymam mocno, ale lepiej się pośpieszyć.

Spróbowała uśmiechnąć się, szepcąc:

— Dziękuję.

Zaczęła schodzić. Ale gdy znalazła się na wysokości pierwszego piętra, pęknięty szczebel złamał się.

Tracąc nagle równowagę, Janka, która już dusiła się od dymu, zobaczyła nagle, że niebo zawirowało. Z okrzykiem strachu puściła trzymane oparcie i ciężko upadła na ziemię.

Ryczący tłum rzucił się ku niej.

II.

— Powtarzam panu, panie Durand-Gardel, gdyby nie poświęcenie tej dziewczyny, gdyby nie jej bohaterstwo — o, to słowo nie jest zbyt silne — nic nie zostałoby z fabryki, a plany „Kormorana" przepadłyby wraz ze wszystkiem.

— Gdzie ona jest, ta dzielna dziewczyna?

— W szpitalu...

— W szpitalu?

Lemounier, dyrektor warsztatów, wykonał uspokajający ruch ręką.

— Niech się pan uspokoi, szefie — rzekł. — Życiu jej nie grozi niebezpieczeństwo, tylko bardzo cierpi... Złamany obojczyk, zwichnięte ramię, rana w głowie, oparzenia na rękach i nogach... Przeszła dużo, ale na szczęście odzyskała już przytomność!

— A... cóż jej rodzice?

— Nie ma już rodziców. Mieszka ze starą siedemdziesięcioletnią babką, która ją wychowała. Matka jej umarła, kiedy mała miała zaledwie pięć lat, a ojciec został zabity w Charleroi.

Klemens Durand-Gardel, stojąc pośrodku biura swego dyrektora, słuchał z uwagą i w skupieniu. Wysoki, szczupły, o bystrem spojrzeniu, z wygoloną twarzą i krótko ostrzyżonemi siwiejącemi włosami, z szeroką blizną na twarzy, pamiątką po nieszczęśliwem lądowaniu, kiedyś przed laty — robił wrażenie człowieka energicznego i dobrodusznego zarazem.

— Jak się nazywa ta panna? — spytał.

— Janina Bel du Colombel.

— Czy pan ma pod ręką bliższe dane o niej?

— Oto są, panie dyrektorze.

Lemounier sięgnął przez stół do kartoteki i podał panu Durand-Gardel zapisaną kartę.

— O, to pochlebne curiculum vitae — odezwał się szef. — I świadczy o pana trafnym sądzie, kochany Lemounier, albowiem ta młoda dziewczyna potwierdziła, że jest taka, jak ją pan ocenia. Ale to jest jej portret moralny, a jak się przedstawia fizycznie?

— Wysoka, zgrabna, wytworna, dobrze zbudowana, o żelaznem zdrowiu. W przeciągu czterech lat opuściła tylko 8 dni, z powodu grypy — odparł Lemounier. — Gdyby chciała, byłaby już dawno bogata, gdyż miewała już rozmaite pro-

pozycje... Ale ci ludzie niepotrzebnie się fatygowali. Jest czysta, prosta i dumna, jak szpada. Odkąd jest moją sekretarką i współpracowniczką — mówię to panu szczerze — praca tutaj zyskała na wartości. Ta dziewczyna umie patrzeć i sądzić. Dowiodła, że kiedy trzeba, umie też — działać...

Zmarszczka przecięła zatroskane czoło przemysłowca.

— Właściwie — rzekł — dlaczego ta panienka była jeszcze w fabryce owej nocy?

— Tłumaczyła sprawozdanie, przesłane nam z Berlina. Chciała je skończyć, ażeby mogło być przedstawione panu w piątek wieczorem.

— Sprawozdanie, z czego?

— Z działalności i prac naszych niemieckich konkurentów.

— Dziękuję panu, Lemounier. Niech pan bierze kapelusz, i chodźmy do szpitala. Później zajmiemy się reparacją szkód w fabryce.

Obaj mężczyźni opuścili biuro i w kilka minut później znaleźli się w samochodzie, którym Durand-Gardel przyjechał z Paryża.

— Mówił mi pan, że aresztowano winowajcę — podjął przemysłowiec. — Kto to jest?

— Zwolniony robotnik; działał pod wpływem namowy przywódców, których zresztą zdradził. Sprawa jest niejasna... Ubezpieczenia pokryją straty. Właśnie mebluje się ostatnio wykończone pracownie i za tydzień będzie można wziąć się do „Kormorana". Jest to tylko przykry wypadek, ale gdyby nie Janina, byłaby katastrofa, albowiem podpalacz był dobrze nauczony przez tych, którzy wybrali godzinę dla dokonania przestępstwa. Między dziesiątą a dwunastą, istotnie, niema warty. Gdyby Janina nie spostrzegła tego człowieka i nie uznała, że jego obecność o tej porze jest podejrzana, gdyby nie zaalarmowała kogo się dało, o godzinie pierwszej z Towarzystwa Budowy Samolotów nic zostałoby nic, prócz popiołu i gruzów. Dużo ma pan jej do zawdzięczenia.

— Zaczynam w to wierzyć, kochany Lemounier — odrzekł Durand-Gardel, ocierając czoło [illegible].

* * *

— Janinko... moje dziecko... moja ptaszyno... Jak się czujesz?

Pani de la Chantaignery, pełna troski, pochyliła się nad łóżkiem wnuczki.

— Poznajesz mnie, kochanie? — spytała znów stara dama.

— Tak, babciu.. — westchnęła dziewczyna.

Uśmiechnęła się leciutko, i piękne błękitne oczy nakryła powiekami, ocienionemi gęstą frendzlą bronzowo-złotych rzęs; pragnęła ukryć wzruszenie.

Głowę miała obandażowaną, dłonie zaś i przedramiona owinięte watą. Ramię było unieruchomione, ażeby dać możność zrośnięcia się złamanemu obojczykowi.

— Ładna jestem, co, babciu? — rzekła, siląc się na uśmiech, który miał być szyderczy, a stał się bolesny.

— Moja biedna ptaszyno — odezwała się babcia czule. — Narobiłaś nam dużo strachu, ale wszystko będzie dobrze. Lekarz mówi, że za trzy tygodnie będziesz zdrowa. Ale, co za przygoda, mój Boże! — Głos staruszki drżał. — Pomyśleć, że mogłabym cię stracić. Trzęsę się na samą myśl o tem.

Zakryła twarz rękami, wychudzonemi i porysowanemi przez niebieskie żyły.

— Nie płacz, babciu! — rzekła cicho Janina. — Czy mogłam pozwolić na to, ażeby fabryka się spaliła i plany zostały zniszczone? Postępując tak, jak to uczyniłam, uratowałam czterystu robotników od przymusowego bezrobocia, od głodu i rozpaczy... I zresztą... nie mogłam inaczej. A także, — mogę przyznać się do tego przed tobą, — nie myślałam o tem ani przez chwilę, tak jak nie myślałam o niebezpieczeństwie, na które się narażam...

Drzwi otworzyły się cichutko. Ukazała się w nich starsza pielęgniarka.

— Wizyta, panno Janko — rzekła. — Pan Lemounier z drugim panem, bardzo eleganckim, komandorem Legji Honorowej. Czy pani chce ich przyjąć?

— Tak — westchnęła chora.

Babka podniosła się. Wysoka i chuda, o twarzy okolonej ramą srebrzystych włosów, stała u wezgłowia łóżka, pełna powagi i godności, co podkreślała jeszcze czarna suknia o staroświeckim kroju.

Wszedł Lemounier, a tuż za nim ukazał się Klemens Durand-Gardel.

— Panno Janino — odezwał się dyrektor warsztatów — przyprowadzam pani naszego szefa, który dopiero co przyjechał z Paryża i pragnął natychmiast przyjść dowiedzieć się o pani zdrowie.

— Przedewszystkiem chciałem pani podziękować i złożyć hołd jej bohaterstwu — rzekł Durand-Gardel, nie starając się ukryć wzruszenia, które dźwięczało w jego głosie.

— Spełniłam jedynie mój obowiązek, proszę pana — wyszeptała Janka, której blada twarz oblała się nagłym rumieńcem.

— O, zrobiła pani dużo więcej — przerwał Durand-Gardel. — W tym wypadku obowiązek pani ograniczał się tylko do wszczęcia alarmu, ale nie polegał na ryzykowaniu życia, w celu ratowania dzieła, które, prawdopodobnie będzie koroną mej karjery konstruktora. Gdyby nie pani, pięć lat wytrwałej pracy, bezustannych poszukiwań i prób poszłyby na marne, albowiem obawiając się niedyskrecji, nie chciałem w Paryżu robić kopji tych dokumentów, pani uratowała oryginalne plany „Kormorana". Strata ich byłaby niepowetowana, gdyż dopiero przedwczoraj sam zniszczyłem wszystkie szkice i kolejno wprowadzone zmiany, nawet — obliczenia, pewny, że wszystko to znajduje się tutaj, w dwu egzemplarzach, najzupełniej bezpieczne... Bezmyślny czyn pijanego brutala omal nie zniszczył tego: fabryka została uratowana tylko dzięki pani, jej energji i odwadze. Są to wspaniałe zalety, rzadkie u ludzi wogóle, a zwłaszcza u młodych panien. Dziękuję pani raz jeszcze z głębi serca, w imieniu mojem, mojej rodziny i moich współpracowników. Zaciągnąłem u pani dług wdzięczności, który pragnąłbym wyrównać jaknajprędzej...

Mówił z zapałem, który zdumiewał u tego przeszło pięćdziesięcioletniego człowieka, o wyglądzie surowym, prawie twardym.

— Nie pytam pani, jakiej żąda nagrody, gdyż sam wiem, co mi należy uczynić. Pragnę tylko dać wyraz wdzięczności, która przepełnia me serce, — dumie, którą odczuwam, mogąc powiedzieć pani, że została słusznie oceniona i — radości, jaką mi daje przeświadczenie, że na tak niezwykły czyn zdobyła się francuska dziewczyna.

— Panie!... to za wiele... — szepnęła Janka, leżąc z zamkniętemi oczami.

— Nie, to nie za wiele — odrzekł niskim trochę zduszonym głosem. — Ale niech pani powie, moje dziecko... czy pani pozwoli się ucałować?

— Och, z całego serca! — odrzekła młoda dziewczyna.

Pochylił się nad biedną, pobladłą twarzyczką, nagle przyłożył wargi do gorącego policzka i wyprostował się. Teraz uśmiechał się z ojcowską czułością, był jakgdyby innym człowiekiem.

— Proszę mi powiedzieć, moje dziecko... — zaczął — swoje najtajniejsze życzenie. Bo chociaż jest pani niezwykle rozsądna i poważna, to jednak ma pani napewno jakieś marzenie, jakieś utajone w głębi serca życzenie, może uważane za nieziszczalne...

— Ach, proszę pna, co też pan mówi — wyszeptała pani de la Chantaignery, składając swe pomarszczone dłonie.

— Niech pani mówi zupełnie szczerze, panno Janko — odezwał się Lemounier, ocierając oczy. — Niech pani powie, coby mogłoby jej sprawić przyjemność i niech się pani nie obawia powiedzieć za dużo.

Janka zwróciła oczy na swą babkę, która siedziała blada, drżąca, przejęta strachem. W oczach staruszki widziała taki wyraz błagania i jednocześnie przerażenia, że wydała tylko lekkie westchnienie rezygnacji.

— Dziękuję panu — rzekła. — Ale nie pragnę niczego, prócz prędkiego wyzdrowienia i możności powrotu do pracy.

Po twarzy jej spłynęły dwie łzy, okrągłe i czyste, jak perły, zdradzając, że odmowa musiała ją dużo kosztować.

*(Ciąg dalszy nastąpi).*

# GRUPY ZAWODOWE W SPOŁECZEŃSTWIE

Zaledwie kilka dni minęło od rozpoczęcia lekcyj po ferjach zimowych. Dopiero zaczynamy się wdrażać do codziennej, szarej rzeczywistości powszedniego dnia szkolnego. Korzystając z tego, pragnę na chwilę porzucić aktualne zagadnienia samorządowe i pomówić o rzeczach pozornie odległych od samorządu, t. j. o grupowaniu się pewnych typów społecznych w gromady zawodowe i o roli jednostki w społeczeństwie.

Minęły dawno te czasy, gdy uważano, że społeczeństwo składa się z jednostek mniej więcej równych sobie pod względem charakteru, woli i zdolności i że jednostki te są niemal bliźniaczo do siebie podobne. Panujący w XVIII w. racjonalizm zwalczał istniejące między ludźmi różnice na karb wychowania i przypuszczał, że da się je zczasem usunąć i stworzyć jakiś doskonały typ Człowieka (przez duże C).

Obecnie socjologja daleko odbiegła od tych zapatrywań i zdaje sobie dokładnie sprawę z różnic indywidualnych między ludźmi. Grupuje ich przeto w pewne typy społeczne i zastanawia się nad rolą tych typów w życiu ogółu.

Przykład najlepiej nam to uwidoczni. Rzućmy okiem po naszej klasie. Dostrzeżemy w niej jednostki władcze, które urodziły się jakoby do przewodzenia gromadzie; dostrzeżemy mole książkowe, wiecznie zajęte, skłopotane, umiejące więcej niż trzeba, a ciągle niezadowolone z siebie i swych wiadomości; są i takie, które prześlizgują się przez życie — uśmiechnięte, nieco powierzchowne „szczęściarki"; znajdzie się zapewne i jakaś nieśmiała, unikająca wzroku nauczyciela, siedząca gdzieś zdala i czerwieniejąca się po uszy, gdy ją poproszę do odpowiedzi.

Upłynie rok, czy dwa i wielka machina, jaką jest społeczeństwo dzisiejsze, wchłonie te wszystkie jednostki, wprzęgając je do pracy. Gdzie się one znajdą?.. Jakim warstwom poświęca swe siły?.. Wobec znacznego zróżniczkowania zawodów, każda — nieraz nawet wbrew swej woli — zostanie wciągnięta do tej pracy, jaka jej najbardziej odpowiada. Typy, podobne do siebie pod względem psychicznym, znajdą się więc w pewnych grupach zawodowych, a czas sprawi, że upodobnią się one do siebie z biegiem lat jeszcze bardziej. Zauważyłyście napewno, że np. nauczyciele, mimo różnic indywidualnych — mają pewne rysy wspólne. Napewno nie jeden raz kończyłyście swe dowcipne charakterystyki poszczególnych nauczycieli zdaniem: „To typowy belfer!" Przyglądając się czasem przez okno blacharzom, pokrywającym dach sąsiedniej wysokiej kamienicy, zastanawiałyście się, kto im kazał wybierać tak niebezpieczny zawód? Kiedy zaś zaczęli na wysokości pięciu pięter na śliskim dachu baraszkować, udając, że jeden drugiego chce zepchnąć wdół, zdumienie wasze wzrosło jeszcze bardziej. Przecież człowiek innego zawodu, a zwłaszcza cierpiący choćby w najmniejszej mierze na t. zw. chorobę przestrzeni, spadłby z tej wysokości po kilku minutach. Blacharze zaś i kominiarze chodzą sobie, żartując i kpiąc z niebezpieczeństwa. Płynie to z tego, że zawody te rekrutują się przeważnie z ludzi, mających zamiłowanie do tego rodzaju niebezpieczeństw. Przy sprzyjających warunkach człowiek tego typu zostanie jakimś znakomitym taternikiem, czy alpinistą i — być może — przyczyni się do rozświetlenia różnych wysokogórskich tajemnic przyrody.

A oto inny typ: Człowiek niespokojny, ruchliwy, rozmiłowany w podróżach, a nawet włóczędze. W zwykłych warunkach zostanie np. komiwojażerem przy sprzyjających okolicznościach — wielkim podróżnikiem, lub odkrywcą. Kolumb był zapewne t. zw. „włóczykijem" i możliwe, że przyjaciele mówili mu: „Kochany Krzysztofie, osiadłbyś na miejscu, jak wszyscy porządni ludzie, a nie pędził po świecie!". Natura jednak przemogła i Kolumb odkrył Amerykę.

Jak więc widzimy, najlepiej służy się społeczeństwu, idąc za głosem wrodzonych zdolności. W pracy samorządowej objawiają się nasze zamiłowania bardzo wyraźnie. Czy nie byłoby dobrze, by członkowie samorządu w przyjacielskich rozmowach wskazywali wzajemnie na pewne rysy swego usposobienia? Nieraz człowiek nie zna dobrze sam siebie i dopiero inni wskazują mu jego przeznaczenie.

*J. Waśniewski.*

# CZARODZIEJSKIE PŁÓTNO

## *CO CZYTAJĄ ONI?*

Powiedz mi, co czytasz, a powiem Ci, kim jesteś — mówi stare przysłowie. A więc wtargnijmy do eleganckich bibljotek gwiazd i gwiazdorów filmowych i dowiemy się, co czytają nasi ulubieńcy.

100 proc. anglik, Ronald Colman, lubi pisarzy angielskich. W jego bibljotece znajdziemy dzieła Szekspira, Shaw'a, Wilde'a, Shelley'a i Keats'a obok utworów najnowszych. Betty Bronson interesuje się dziełami o okultyzmie i klasyczną literaturą. Sympatyczna para małżeńska Dick Arlen i Jolyna Ralston zbierają samych sensacyjnych pisarzy.

Virginja Cherrill, bohaterka filmu „Światła wielkiego miasta" jest wielbicielką Cyryla Hume i Paula Moranda. Estella Taylor kupuje zawsze poezje modernistyczne. Monte Blue zbiera wszystkie dzieła, gdzie występuje postać prezydenta Lincolna. Leslie Fenton czytuje jedynie książki filozoficzne. Harold Lloyd lubi książki wesołe, a zabawny George K. Artur specjalnie kolekcjonuje wszystkie „książki wojenne". Czterej namiętni bibljofile w Hollywood to reżyser Al Green, który posiada najwspanialszy zbiór „pierwszych wydań" w całej południowej Kalifornji, Douglas Fairbanks, Józef Schildkraut i Jean Hersholt.

Reżyserowie i producenci mało dbają o książki. Chwalebnym wyjątkiem jest Józef Von Sternberg, którego ulubioną lekturą są dzieła filozoficzne, rozprawy o sztuce i grafice. Louis Moran jest jedyną gwiazdą, która czytuje rozprawy filozoficzne. Pozatem lubi dzieła klasyczne i powieści o charakterze biograficznem. Louis czytuje po francusku i po angielsku.

Klara Bow kupuje książki sporadycznie. Mniej więcej, co cztery miesiące zjawia się w księgarni w Hollywood, gdzie wybiera około 50 tomów. A Klara nie czytuje romansideł i lekkiej beletrystyki. Jej ulubione książki to: „Henryk VIII", „Sztuka myślenia", „Logika" i pamiętniki sławnych ludzi. Ktoby posądził Klarcię o tak poważną lekturę?

Ulubieni autorzy Rod La Roque'a to Dickens i Thackeray. Ryszard Dix lubi powieści biograficzne podróżnicze i klasyczną poezję. Ryszard Barhelmess woli powieści kryminalne i podróżnicze.

Johna Barrymore'a interesują dzieła o teatrze, bądź w formie powieści, bądź rozpraw, lubi także książki poświęcone sztuce i powieści „morskie". Joan Crawford i Douglas Fairbanks czytają powieści współczesne. Ewelina Brent lubi również powieści, ale chętnie czytuje pamiętniki i biografje. Charlie Chaplin wyszukuje zawsze książki poważne, dzieła klasyczne, sztuki greckie i monografje poświęcone Napoleonowi, do którego ma dziwną słabość.

Jego największy rywal, Harold Lloyd, czytuje książki o okultyźmie, filozoficzne, ale najbardziej lubi książki wesołe, ma pełną bibljotekę dzieł humorystów, z których ulubionym jego autorem jest Mark Twain. George O'Brien czytuje książki podróżnicze. James Cruze zbiera książki D. H. Lawrence'a. Betty Compson lubi „ostatnie nowości". Mary Picford czytuje chętnie rozprawy o sztuce, a Chester Morris, niezapomniany bohater „Szarego domu" namiętnie czytuje powieści kryminalne. Jetta Goudal kolekcjonuje książki Anatola France'a. Dolores del Rio czytuje najnowsze powieści francuskie, hiszpańskie i angielskie.

Warto wspomnieć szerzej o bibljotece Jeana Hersholta, który posiada 2500 domów. Jest tam całkowite wydanie dzieł Dickensa, liczące około 100 lat. Pierwsze wydanie dzieł Boswella i Jonsona.



*Fot. Metro.*



*Fot. Fox.*

Pierwsze wydanie Szekspira z 1685 roku, kronika Norynburgska z 15-go wieku, mała książeczka, pracowicie przepisana przez mnichów na długo przedtem, nim Gutenberg wydrukował pierwszą książkę.

Nie wszyscy są takimi rozmiłowanymi czytelnikami w Hollywood. Świadczy o tem następujący fakt. Do jednej z większych księgarni w Nowym Yorku zjawił się gentelmen, znany gwiazdor filmowy, który zażądał paruset książek, obojętnie jakich, któreby pasowały do obicia w jego bibljotece!!! *B. S.*

# Za progiem szkoły.



## JOLA.

Co się działo w klasie 6-ej po wystąpieniu Marylki*) ze szkoły, trudno sobie wyobrazić! Coś, jakby burza przeszła nad klasą, powichrzyła wszystkie, poukładane dotąd porządnie myśli, zatarła różnice „klasowe" („powód" — zdolności, sytuacja stopni i zainteresowań) i pokręciła porządek dnia. Wszystkie — i prymuska Sabina i „ostatni osioł", Józefka, i Klarcia, z wymanikurowanemi paluszkami, i Nina, oszalała sportsmenka i Gienia o wiecznie strączkowatych włosach i... ach, ile ich tylko było, wszystkie mówiły o tym niezwykłym fakcie, na każdej pauzie, ba, nawet na niektórych lekcjach, choć to było surowo wzbronione, i toczyły zażarte dyskusje, czy to było mądrze, czy też właśnie zupełnie głupio!

Były zdania takie i takie, ale właściwie najtrudniej było zrozumieć, jak mogła Marylka zdobyć się wogóle na taką decyzję.

Najwięcej nad tą sprawą debatowała Jola, czyli tak zwana w klasie — „społecznica". Jola była najserdeczniejszą przyjaciółką Marylki, siedziały na jednej ławce od wstępnej klasy, a wspólne dole i niedole tak je połączyły, że nie było chwil smutnych, lub wesołych, którychby nie przeżywały razem, nie było myśli, którychby sobie nie zwierzały. Przytem Marylka zdołała przelać w przyjaciółkę część swoich zainteresowań gospodarczych, a choć Jola, urodzona „działaczka" przerobiła je i ujęła po swojemu, spotykały się jednak zawsze na gruncie pieczenia ciast, lub robienia konfitur, choć Marylka piekła i smażyła przeważnie dla własnej satysfakcji, a Jola społecznica obdarowywała niemi przez siebie zorganizowany bufet szkolny lub urządzała jakieś Gwiazdki i Święcone Jajka dla dzieci rozmaitej nędzy miejskiej. Na tem tle przyjaciółki często różniły się w zdaniach. Marylka nigdy nie mogła zrozumieć, co za przyjemność okarmiać brudne a często niegrzeczne dzieci. Jola oburzała się na bezcelowe przyrządzanie przysmaków.

— Sztuka dla sztuki — śmiała się przekornie Marylka, a wtedy bezsprzecznie Jola występowała z przemową o egoizmie społecznym, która kończyła się zazwyczaj krótką, ale dosadną kłótnią przyjaciółek.

Dziś, w pierwszy dzień po wakacjach, Jola z żalem spoglądała na pustą ławkę przyjaciółki, i tęskniła nawet za temi „zasadniczemi kłótniami", do których się przyzwyczaiła i które były jej niemal potrzebne. Dla ulżenia sercu, zaraz po lekcjach poszła odwiedzić Marylkę, i zasięgnąć wieści, jak też czuje się ona w tej nowej skórze.

Marylka czuła się doskonale. Zarumieniona, z błyszczącemi oczami opowiadała Joli o swych nowych, naukowych sukcesach, i wreszcie w pewnej chwili zawołała:

— A ty Jolu, czy nie chciałabyś pójść za moim przykładem i zrezygnować z matury, która Cię i tak napewno nie uszczęśliwi?

— Ja!

Jola szeroko otworzyła swoje ładne oczy, bo taka ewentualność nigdy jej nie przyszła na myśl.

Nie była tak zdecydowana jak Marylka, i myśl o wprowadzeniu jakiejkolwiek zmiany w swym dotychczasowym życiu napawała ją prze- [illegible]

— No, oczywiście. Nie będziesz mi chyba wmawiała, że jesteś intelektualistką, która pragnie w późniejszych latach zabłysnąć jako sława naukowa?

— Ni-e-e.

— No, widzisz.

— Ale, jak wiesz, mnie nie pociąga tylko gospodarowanie, tylko pieczenie, smażenie, sprzątanie, przytem nie lubię, żeby mną ktoś niepodzielnie rządził; lubię sama czasem coś wymyśleć, lubię mieć inicjatywę.

— Hm — zastanowiła się Marylka — wówczas, gdy szukałam szkół dla siebie, natrafiłam na coś, coby może było tem, czego szukasz. Szkoła społeczno-gospodarska. Przygotowuje ona pracownice społeczne, z odcieniem, że się tak wyrażę, gospodarczym, to znaczy kierowniczki burs, pensjonatów i tym podobne. Czy by Ci to nie odpowiadało?

— Owszem, to zdaje się coś dla mnie, ale — jęknęła przyciśnięta do muru Jola, — ale nie wiem, czy mi mama pozwoli, jej tak zależy na mojej maturze, wyobraża sobie, że tylko z tem świadectwem dojrzałości dostanę jakąś posadę. A wiesz jakie to jest ważne dla nas?

Tak, Marylka wiedziała. Mamusia Joli wdowa, pracowała od lat, jako nauczycielka, i z trudem, ze skromnej pensyjki utrzymywała siebie i córeczkę, marząc o chwili, kiedy Jola ukończy szkołę i dostanie „świetną" posadę. Biedna mama! Myślała lekkomyślnie, że posady leżą jak żwir na drodze, że byleby tylko matura!

Jola i Marylka po długiej dyskusji postanowiły wspólnemi siłami zrobić wyłom w fortecy matczynych postanowień. Główny atut — łatwość uzyskania tej „świetnej" posady, okazał się najbardziej skutecznym, i rozwiązał jakoś łagodnie, w ciężkiej trosce załamane matczyne ręce.

— No tak, no dobrze, jeżeli myślicie, że tak właśnie będzie najlepiej — mówiła trochę zatroskana, a trochę radosna, — ja myślę jeszcze dawnemi kategorjami i nie wiem jak właściwie ma być przygotowana do życia współczesna dziewczyna. — Zawodowo, przedewszystkiem zawodowo, proszę pani — mówi Marylka, z entuzjazmem nowej adeptki. — Kobiety muszą mieć swój fach, koniecznie!

Uzyskawszy wreszcie pozwolenie mamy, dziewczynki zaczęły wertować spisy szkół, aż wreszcie wypisały następujące adresy:

*Czarny Bór, woj. wileńskie, Szkoła Gospodarczo-Społeczna Zgromadzenia Sióstr Urszulanek.*

*Łódź, Sienkiewicza 61. Społeczna Szkoła Żeńska Stow. Służby Obywatelskiej.*

*Warszawa, ul. Złota 14. Szkoła pracownic społecznych P. M. S.*

*Zakopane. Państwowa Szkoła Hotelarsko-Przemysłowa.*

A potem... było prawie tak samo, jak z Marylką. Napisano do szkół o informacje, a po 3 latach pracy i 2 latach praktyki, Jola dumna i szczęśliwa została zarządzającą bursy dla dziewcząt w Warszawie. Ma wykształcenie gospodarczo-handlowe. Umie być sekretarką, gospodynią, administratorką, a przytem ma otwarte pole dla swojej pasji społecznej.

Ach, jak przyjemnie organizować i widzieć zaraz owoce swojej pracy. Zarabia Jola mniej więcej tyle, co Marylka i pracuje z zapałem.

*Zofja Miszewska.*

*) „Świat Dziewcząt" Nr. 2.

## ZOSIA I DŻOKI



*Radjo śpiewa co ma siły*
*Jakże go jest słuchać miło!*

*Bęc! z hałasem wszystko spada,*
*Jakaż znajdzie się tu rada?*

*Zosia pieska w skrzynkę wtyka:*
*— Ratuj, Dżoki, tę muzykę.*

*Hau, hau!—piękne psa szczekanie*
*to mi jest dopiero granie!*

# SUKIENKI I PŁASZCZYKI





*1. Suknia wełniana. Stanik z karczkiem odcinanym. Spódniczka w szerokie fałdy z przodu i z tyłu. Pasek skórzany. Kołnierzyk i mankiety z piki. Odpowiednia dla panienki od 13 lat.*

*2. Suknia z niebieskiej wełny, połączonej z welwetem. Doskonale nadaje się na podłużenie za krótkiej sukienki. Karczek odcinany, przybrany podwójnym kołnierzykiem. Mankiety z wypustką aksamitną. Dla panienki od 15 lat.*

*3. Płaszczyk wiosenny z bronzowej wełny, zapięty na guziki. Pelerynka z kołnierzykiem futrzanym. Mankieciki z futra. Pelerynkę można zrobić odejmowaną a kołnierzyk i mankiety dać z odmiennego materiału. Dla panienki od 14 lat.*

*4. Płaszczyk wiosenny z wełny beige. Epolety i krawat z futra. Można je zrobić z imitacji lub z wełny odmiennego koloru. Dla panienki od 16 lat.*

# NIEBO ANETY

Obydwa dzikie zapachy — śniegu i sosen — przebiły jednak zamrożoną atmosferę. Poderwane biegiem sanie wystrzeliły z pod płóz grudkami. Jedna z nich ugodziła Zuzannę w oparzony wiatrem policzek. Niecierpliwie strząsnęła z rzęs resztki białego pyłu.

— Powiat rodzinny wita cię nocą gwiezdną, Zuzanno — pomyślała uroczyście. Przymknęła oczy. Ta jazda do domu na święta, ta samotność w wielkich saniach, mówiące o znojnym upracowaniu rodziny, mogła jakże łatwo wkroczyć w orbitę szczęścia.

— Życie jest wielkim pedagogiem. Nie pozwala ani na chwilę pogrążyć się w niepamięć. Nie wolno odpocząć bez reszty. I tu, jak w dzieleniu występuje ułamek, przeszkadzający dosytowi okrągłej całości. Cierń podkluwa serce, aby nie zleniwiało w uciesze. Jakże tu inteligentnie rozumuję w tych saniach! Szkoda, że mi zabrakło bystrości w chwili najbardziej odpowiedniej. Właściwie w trzech chwilach — czy może godzinach! W pewnym kwadransie przy czarnej tablicy, kiedy to ziemia, księżyc i słońce znalazły się na obwodzie jednego koła.

(Piękne towarzystwo — jak się dowcipnie wyraził profesor kosmografji). W decydującym momencie płynnego streszczenia „Hernani" (jak tu mówić o czemś, czego się nie widziało na oczy?). I na klasówce z trygonometrji, kiedy wynik ściągania od sąsiadki z przedniej i tylnej ławki okazał się sprzeczny w sposób zgoła drastyczny.

— Tak oto, Zuzanno, zmorę wieziesz na karku. Cóż stąd, że prosto ze szkoły zadepeszowałaś dobitnie:

— Trzy dwójki. Czy mam przyjeżdżać na święta?

I że otrzymałaś odpowiedź:

Mimo wszystko, przyjeżdżaj

Każda gałąź kosmatej sosny wypomina ci twoją hańbę. Gdyby nie to — nawet zuchwała zaczepka brzozowej, sztywnej od mrozu witki, która o mało nie zdarła beretu, wydałuby ci się aksamitną pieszczotą... Czyż wszystkie drzewa tego czcigodnego powiatu otrzymują poufne wiadomości z gimnazjalnej kancelarji? W epoce radja nic niewiadomo. Świat jest omotany siecią anten o niezbadanych bliżej stacjach nadawczych.

Co myśli sobie w tej chwili ten tu nad moją głową gwiazdozbiór? Aneta wie z pewnością, jak mu na imię. Dla mnie jest gwiazdorem nieznanym. Pocieszam się, ze z wzajemnością. Jak to dobrze, że te nieskończone światy zgodnie współżyją dzięki dobrodziejstwu wszechstronnej ignorancji. Zuchwała Aneta wydaje jej walkę. Jakie są też tu losy tej wykolejonej kryzysem maturzystki? Zaiste, gdyby rodzina odpowiedziała na propozycję mego przyjazdu odmownie — Aneta czule przygarnęłaby mnie na łóżko polowe, na którem latem sypia pod gwiazdami i najbliższą jabłonią. Twierdzi, że przeszkadzają jej jedynie spadające jabłka i macą „sny o potędze". Zabawnie byłoby widzieć migocące o kilometr światła swojego dworu. Mogłabym przyjść do nich z kolendą. W taki wieczór nikomu się nie odmawia gościny. Ale oto dojeżdżamy. Czas mija jednak szybko, nawet napiętnowanym porażką

W kilka chwil potem wysiadającą z sań Zuzannę pokryło kłębowisko jazgoczących ze szczęścia psów.

Beret został jednak zdarty definitywnie.

* * *

W sieni pachniało mokrą psią sierścią i miodnym zgęszczonym wyziewem pierników. Strugą pociekły po policzkach łzy swoje własne i matczyne zawsze jednakowo gorące, jednakowo skore do wylania przy każdej okazji radości i żalu.

— Tak mi przykro — ledwo zdążyła wybełkotać żałośnie Zuzanna. Musiała na tej dziecinnej skardze poprzestać, bo następne, głupio bezradne wylewy zostały zduszone w uścisku.

— Zawsze to samo wielkie, samą wspaniałomyślnością żyjące serce — zdążyła pomyśleć już trzeźwo. — Właściwie my tu wszyscy, cała liczna gromada, szarpiemy tem sercem, jak wilki. Mamusia cierpi na przerost moralny tego organu. To nieuleczalne — na szczęście dla nas. Jakże potwornie jest ciągle je ściskać cierpieniem. Te dwóje musiały w nią uderzyć jak piorun potrójny. Jej — Zuzannie przytrafiła się rzecz tak nieestetyczna, tak dyskwalifikująca człowieka. To się nie da naprawić. Djabeł nakrył ogonem maturę. Opinja leży. Reszta — nędzne trójki. Niema co się bawić w dziecinne złudzenia. No, ale trudno.

— Kto już jest z gromady?

— Są wszyscy. Mania i Kizia w kuchni. Władek obrządza krowy — o, już tupocze na ganku. Włożył buty ojca. Celinka nagwałt przemeblowuje twój pokój. Ciocia Józia klei łańcuchy. Tatuś ma konferencję z panem Ignacym.

— A Karol — gdzież on był dotychczas — znowu przyniósł jakiś śmieć na obroży!

Wielkie, czarne cielsko marudera oparło łapy na ramionach Zuzanny. Aż jęknęła pod tym ciężarem.

— No, będę jutro tatuowana. Ile też pazurów ma pies na każdej takiej łapie? Szczęście, że nie jest stonogą. Co masz na tej obroży, szlachetny bydlaku?

— Naturalnie — list od Anety. Umyślnie odwołała tego psowina przed moim przyjazdem. Stary kawał. Chcesz przeczytać, Mamusiu?

— Może to jakiś sekret?

— Nie, głupstwo.

Aneta pisała:

*— Nie zjawiaj się do mnie dziś, ani jutro. Jestem zbyt zajęta, a ty — ucieszona. Pojutrze zamawiam Cię sobie na trzy godziny. Strój wizytowy wzbroniony. Przynoszenie słodyczy zbyteczne. Pierniki tego samego pochodzenia (czytaj — łubin za drugą miedzą, naprawo od parku) znajdą się i u nas. Lampa w oknie mojego pokoju pozdrawia Cię zdaleka. A. N.*

— Zawsze ta sama Aneta. Delikatność idzie przed nią i za nią. Nie chce mącić atmosfery rodzinnej. Cóż Ty na to, Mamusiu?

— Moje dziecko. Urodziłyście się w jednym miesiącu. Nie od dziś znam Anię. Może co zjesz, czy umyjesz się najpierw?

— Idę zmyć sadzę z wagonu, chociaż twarz już zdążyłam wykąpać w powietrzu. Żadne na świecie nie może z niem się porównać. Wracam natychmiast. Co każesz mi robić Mamusiu? Utrzeć nos Mani? (Przyda jej się na zapas). Umyć podłogi? Cerować skarpetki? Dziś i jutro będę łazić za tobą, jak cielę za krową — uprzedzam.

W ponowionym, gorącym uścisku zimna jeszcze, chociaż już zaczynająca płonąć na policzkach twarz Zuzanny, miękko zanurzyła się w szyi matczynej. Dopiero po wysunięciu się z jedynych na świecie, wszystko odpuszczających ramion, siwe oczy skierowały się ku oknu. Zdaleka przygasł i zapalił się w niem trzykrotny znak powitania za drobnemi szybkami Anety.

•



Narty wśliznęły się miękko w puszysty pagór śniegowy, nawiany z północnej strony pokraczej, słomianej postaci.

— Co naszeptujesz temu chochołowi, Aneto? Czy Marechal Niel zaniemogła od mrozu?

— Witaj — poważnie odpowiedziała Aneta drobniutka i nikła, nie dostająca nawet głową do ośnieżonej chochołej czapy.

— Bałam się, że ta wyspiańszczyzna przesunęła się nieco. Ale już wszystko dobrze. Świetnie ci robią mrozy rodzinnych okolic, Zuzanno. Tak, jak stoisz w tej swojej wiatrówce, możnaby cię wziąć za model reklamowy smaru do nart. Zgaduję odrazu, że ten szalik i rękawice, to dzieło „nieustających" rąk cioci Józi? Jakże z jej gardłem?

— Doskonale. Oni tu mają swoje niezawodne dekokty. Kamfora z mydłem pod wełnianą pończochę, czy coś takiego. Ale... poco my się bawimy w okrążanie tematu, Aneto. Czy nic więcej nie masz mi do powiedzenia? Pokaż się. Zawsze te same oczy, prawie bez dna. Zdaje się, że tak można określić prze-

zroczystą substancję. I niebieskie żyłki na skroniach — jak to piszą w powieściach. Czemu cię tu nie wypasą kluskami?

— Zbyteczne. Schudłam im znowu trzy kilo. Oni myślą, że to z tęsknoty za szkołą. Nie rozumieją, że to nie ma znaczenia. Mam dużo czasu i mogę się wmyślać, a to tak dobrze. I skądże można wiedzieć, od czego wątleje ciało... Byleby tylko coś, co ono tak niedołężnie zmuszone jest obsługiwać, nie skurczyło się do granic niegodnych człowieka. Ale chodź do mnie. Nie będziemy filozofować na mrozie...

Pokój Anety wyglądał, jak mnisza cela. Łóżko — jak ona, wąziutkie, szczupłe i białe — jeden potok asparagusa, rozperlony zielonem listowiem nad oknem, pień brzozowy przykryty serwetką z niebielonego płótna tłumaczący się jako toaletka i sosnowe, gładko heblowane stołki

— Dziwne, jak twój pokój jest poza epokami. Ani dziś, ani wczoraj. Zdarzyć się mógł w roku bitwy pod Legnicą.

— Dali mi tu taki dywanik na ścianę, ale prosiłam, żeby zabrali. Niepotrzebnie rozpraszał myśli. Jakieś były na nim róże, nasturcje i lilje. Czy to wszystko może kwitnąć o jednym czasie?

— I książki! Stos nowych książek. Ty się dalej uczysz, Aneto?

— Nie bądź niedelikatna, Zuzanno. Przypominasz mi dziewczynkę przed talerzem pełnym ciastek, która dziwi się, że córeczka dozorcy je z apetytem bułkę. Więc uważasz, że tylko w szkole można się uczyć? Że im darowałam maturę dlatego, że oszczędności się skończyły przed moim patentem? Widzisz, co to znaczy nie pisać... i pogrążyć się w wirze wielkomiejskiego życia...

— Przepraszam cię. Tak mi przykro, że tatuś... że macie prawie wyłącznie ordynarję.

— Głupstwo. Twój ojciec i tak jest aż nadto wspaniałomyślny, ze nie przyszło mu do głowy zredukować swego dawnego kaprala. My już tego może nie rozumiemy, ale to *ich* wiąże na życie. Razem tworzyć taką rzecz jedyną w tysiącleciu historji, jak własna ojczyzna. Nie, nie jest aż tak źle. Oni tu jakoś sobie umieją radzić. Wędliny do Warszawy, czy coś. Nie wiem. Nie zatrudniają mnie tem — chwała ich zacnym, siwym głowom. Dają mi *żyć*, rozumiesz. To tak dużo.

— Ty mówisz o życiu, Aneto. Tu w tym klasztornym pokoju....

— Jeszcze jest las i śnieg. Nie zapominaj I — niebo.

— Zawsze szalejesz do astronomji?

— Z tego wyjść nie można. Kto raz się wmyślił w całość — już upity nią, do ostatka swego ułamku żywota, nie porzuci jej dla — detalu. Wszystko inne, to błahy szczegół, Zuzanno. Ale iść trzeba do tego drogami naukowej pospolitości. Matura... program... Ja tylko w matematyce tak wybujałam.

— Jak sobie z tem radzisz, nieszczęsna?

— Nie używaj słów, których nie rozumiesz i usuń się proszę, nabok. To miejsce przy poduszce jest zarezerwowane dla Mjori. Jeśli się uczę — grzeje mi kolana i mruczy. To też jakby refren wieczności, półgłośne ron-ron białej kotki, która syta jest mleka i wróbli. Niski, krwiożerczy poziom istnienia. Jeden z wstępnych etapów doskonałości. Mjori ma długą drogę przed sobą. Jest jeszcze w fazie wojującego chaosu.

— Przecie odezwała się w tobie jakaś ludzka słabość. Ukochana koteczka! Już zasypia jak symbol niewinności.

— Czy rozumieć — to znaczy być słabym?

— Ale rzućmy te wzniosłe tematy. Ja nie mogę z tak bardzo wysoka. Jak sobie z tem wszystkiem radzisz Aneto?

— Kursy korespondencyjne. Oni są pobłażliwi. Odsyłają mi wszystko, prawie bez poprawek z gorącemi słowami zachęty. Nie powiem, żeby mi to było potrzebne! Ojciec — jakby się to wyrazić — szanuje tę moją manję samokształceniową — i otworzył mi kredyt na książki. Mam 50 złotych miesięcznie — prowadzę mu za to buchalterję. On, biedak, nigdy nie był nadto do pióra i liczby. Za to ten cudowny chwyt do czynnej rzeczywistości!

Zjedz, proszę tego pierniczka. Zaraz pójdę po ścierkę i zetrę z podłogi szanowne ślady twoich butów. I czy aby Karo nie wyniesie twojej narty z sieni. Strasznie biedak tego nie lubi w pozycji opartej o ścianę. Nie puszczaj go za drzwi.

— — — — — — — — — — — — — —

— No, „Zuziu", a jak twoje szkolne sprawy?

— Nie poruszaj tego tematu. Wplątało mi się w życie wiele innych rzeczy i opuściłam się haniebnie. Trzy dwóje, ani jednej czwórki od wakacyj.

— Niemożliwe! Ty, taka zdolna.

— Zdolna przypuśćmy jesteś ty, a nie ja. I z tą iskrą Bożą — też ty. Najwyżej mogłabym być już nie kagankiem, ale łuczywem oświaty. Ale głupio wyszło, przyznaję. Oni mnie tam w szkole traktują już za psią łapę. Daj tu Karo swoją przednią rękę. Łapa jest ręką, czy nogą? Co o tem mówi wiedza przyrodnicza?

— Nie wiem, ale nie żartuj. Nie do mnie należy prawienie ci głupich morałów. Ale — nie rozumiem.

— Twoje — nie rozumiem — jest dla mnie najwyższą obelgą. Niegodna jestem zapiąć ci pantofelka Aneto (nie używasz rzemyków, jako że nie jesteś narciarką, więc muszę zmienić przysłowie). I ty wiesz o tem najlepiej.

— Czy to dla ciebie jest trudne Zuzanno? Z ósmej klasy się nie wychodzi tak jakoś bez sensu. Obmierzło ci tak nagle? Czy życie woła w inną stronę?

— Nie. Nazwij to raczej okresem upadku. Pusz cza się cugle z rąk — i coś ponosi. Głupstwa. Radio, kino, wizyty. Przyjaciółki. Nie, nie w zastępstwie ciebie, ale ot tak... Słowem z maturą koniec.

— Mój Boże. A ja tak chciałam cię prosić...

— Ty — mnie? Nigdy się to nie zdarzyło.. Ty dająca zawsze i wszystko.

— Widzisz, jakby to powiedzieć... Może ci się wyda dziwaczne. Chciałam cię prosić o pomoc. Niezupełnie mi się podoba kierunek tych kursów. Oni to biorą jakoś wąsko I — co tu mówić — mam sentyment do naszych profesorów. Czy nie mogłabyś mi po przerobieniu — powiedzmy miesiąca, przysyłać notatek, ćwiczeń i zadań. I krótkiego sprawozdania z życia klasy. Co było szczególnie ciekawie ujęte. Co się zdarzyło na terenie wykładów. Jakieś takie rozświetlenia. Ale pewno już teraz nie zechcesz...

— Nie, nie mów tak Aneto. O Boże, że mi też nie przyszło do głowy. Przysięgam ci na tę gwiazdę, co wyłazi nad twoją jabłonią (pewno wiesz, kto to jest), że to zrobię. Dla siebie nie — ale dla ciebie. Ty, moja dzielna, bohaterska osobo... śmieszne byłoby się zastanawiać. Zrobię to. Od dziś za półtora miesiąca dostaniesz pierwszy ładunek. Wytępiesz mi za to wszystkie głupstwa, które oni opuszczą. Tak wierzę w twój węch naukowy... Matura nie mogłaby się już stać doppingiem ale ty...

Już po raz drugi od przyjazdu Zuzanny strumień łez zlał jej twarz rozpaloną emocją postanowienia.

Aneta uśmiechnęła się blado, zdjęła rękę z okrągłej główki zwiniętej w kłębek istoty od mleka i wróbli, i położyła wąską, białą dłoń na nerwowo drgającem ramieniu Zuzanny. Obie spojrzały odruchowo w granatowe, ach raz jeszcze trzeba się tak wyrazić, *usiane* gwiazdami niebo.

— Przez cały styczeń widzieć jeszcze będę o świcie, wiesz, tym co jest już niebieski, a nie jest jeszcze różowy, moją planetę Wenus. Kocham ją jak siostrę. Jakże imię jej brzmi zgrecka i ślicznie... Twoje imię też kocham, Zuzanno. Trzeba mieć coś bliskiego *na ziemi* w epoce krwiożerczego chaosu.

•

Te same gwiazdy, w tych samych oślepiająco odległych konstelacjach wystąpiły na ciemny gąszcz firmamentu. I tak samo zwał śniegu legł u podstawy sutej szaty chochoła. Żyłki na skroniach Anety pulsowały wzruszeniem. Zuzanna pisała:

— *Masz oto pierwszy ładunek. Praca dwuch miesięcy. Uczciwa praca. Posyłam ci materjał przetrawiony do dna. O zwrot poproszę w maju — dla przejrzenia przed egzaminami. Ta książka z twojej dziedziny i atlas — to premja. Spuść czasem myśl zgóry na mnie niegodną, pełną już nietylko zamierzeń, ale i wyników. Przejrzałam twój podstęp. Notatki ci nie są potrzebne. To była tylko ostroga dla mnie — bez bólu, użyta we właściwy tobie, najdelikatniejszy pod gwiazdami, sposób. I dopięłaś celu. Oni tu już mi wrócili cały nienależny szacunek. Dali mi do zrozumienia, że jeśli tak pójdzie dalej — matura pewna. Wiem, że przejrzysz cały ten materjał i odeślesz mi go z twojemi bezcennemi dla mnie uwagami. To mnie, nie tobie, będzie potrzebne. I zato ci zgóry bardzo dziękuję. Wróciłaś mnie poprostu drodze życia z jego bezdroży. A było ze mną źle.*

*Zato pozwoliłam sobie na jedną rzecz dla Ciebie. Nie materjalną — i może to nic. Dziś wstałam o świcie, żeby zobaczyć twoją ukochaną Wenus. Wisiała w niebie jak kropla rtęci. Uśmiechnęłam się do niej. Czy mnie rozumiesz?...*

Aneta mocno zacisnęła wąskie, białe palce na skroniach, odgarnęła z nich wtył jedną popielatą falę i miłośnie przesunęła ręką po kancie sosnowego, roboczego stolika.

— Musiałam to zrobić — pomyślała — nie można pozwolić najbliższym błąkać się po bezdrożach, jeśli nie są one początkiem poszukiwań nowej drogi. Tyle jest tych szlaków wszechświata niezbadanych dla naszych oczu, ślepych jeszcze, jak u nowonarodzonych szczeniąt. Ćwiczmy je we wspólnych, siostrzanych wędrówkach po dali i widnokręgu ziemi...

Po chwili głowa Anety pochyliła się nad nowym atlasem astronomicznym, a ostry ołówek pokrywał zawiłemi obliczeniami lśniące jak atlas kartki *wybranego* kajetu.

Nierozumne dziecię ziemi, opita mlekiem Mjori, grzała dalej pieszczotą białego futra szczupłe kolana dziewczyny.

*Wanda Borudzka*



Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

# KTO TO ROZWIĄŻE?..

## UZUPEŁNIANKA.




Podane wyrazy uzupełnić brakującemi literami tak, aby te litery, czytane pionowo, dały [illegible]

*Marja Malkiewiczówna* (Rzekuń)

Za rozwiązanie wszystkich lub jednego z powyższych zadań, Redakcja przeznacza 3 nagrody książkowe w drodze losowania. Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia *10 lutego 1933 r.* Rozwiązania należy nadsyłać pod adresem Redakcji, z dopiskiem *„Rozrywki Umysłowe"*.

## PERÓWKA.



Należy znaleźć 7 wyrazów o niżej podanem znaczeniu. Następnie, do każdego z otrzymanych wyrazów, należy dodać nutę z pośród umieszczonych na rysunku w ten sposób, aby z wyrazu i dodanej nuty, można było otrzymać [illegible]

Nowoutworzone wyrazy, należy wpisać do figury *pionowo*. Przekątna da rozwiązanie. Wyraz 6-ty należy wpisać *wspak*.

*Znaczenie wyrazów:* 1. Dwa, oba — inaczej. 2. Umierać. 3. Spisy, wykazy. 4 Kształt, wygląd. 5. Zdrobniałe imię żeńskie. 6. Ptak z rodziny kruków. 7. Narzędzie kuchenne.

*Bohdan Bieńkowski* (Lublin).

# Można się uśmiać!..

### PRZED WYSTAWĄ JUBILERA.

Żona: Takbym pragnęła, mężusiu, żebyś mi kupił coś na szyję.

Mąż: Dobrze, kochanie.

Żona (uradowana): A co mi kupisz: korale, czy perły?

Mąż. Ani korale, ani perły.

Żona: Tylko?

Mąż: kawałek mydła.

### NA CIEMNEJ ULICY.

Bandyta: Pieniądze, albo życie!

Napadnięty: No, ostatecznie mogę wziąć pieniądze.

### UPRZEJMOŚĆ.

— Hallo! Czy zastałem panią w domu — odzywa się w telefonie jakiś męski głos.

— Owszem jest — odpowiada pokojówka — w tej chwili proszę. nieco pan siada.

### ORZEŁ CZY RESZKA.

Dwaj chłopcy idą do szkoły:

— Wiesz Stasiu, jabym chętnie poszedł tera na ślizgawkę.

— A ja na saneczki.

— Wiesz co, rzucimy monetę. Jak upadnie orzeł, to pójdziemy na ślizgawkę, a jak reszka, to na saneczki.

— A kiedy do szkoły?

Chłopiec namyśla się przez chwilę, wreszcie [illegible]

— Hm, no, jak moneta zatrzyma się w powietrzu, to pójdziemy do szkoły.

### W ZOOLOGICZNYM OGRODZIE.

Mały Jaś zatrzymuje się z mamą przed klatką zebry.

— Mamo patrz! — woła chłopiec — koń w kostjumie kąpielowym.

### W RESTAURACJI.

Gość po kilkakrotnem bezskutecznem wzywaniu kelnera, spostrzega, że ten siedzi w przyległej sali i patrzy przez okno.

— No panie, czy macie śpiączkę? — woła [illegible]

— Zapytam w kuchni, bo w karcie niema — odpowiada spokojnie kelner.

# Coś smacznego.

## GRZANKI.

Zdarza się, że chleb i bułki na pierwsze śniadanie, czy kolację, bardzo się sprzykrzą. Wtedy radzę spróbować następującej odmiany: zwyczajną bułkę za 5 gr. przekrajać na pół, umoczyć dokładnie w rozbitem jajku, troszkę nosolić i smażyć na gorącem maśle. Gdy się ładnie zrumieni skropić trochę cytryną. Takie grzanki będą jeszcze smaczniejsze, jeśli będziemy je jeść z szynką, pasztetem, pieczenią, same jednak są również bardzo dobre.

Jeszcze mniej kłopotliwe i tańsze jest usmażenie równo ukrajanych plasterków chałki czy strucli (często zostają kawałki tych bułek z niedzieli), na maśle, bez żadnych przypraw. Najłatwiej usmażyć je, posmarowawszy bułkę cienką warstwą masła, które do tego musi być miękkie. Do takich grzanek doskonale smakują borówki, marmelady, dżemy.

Grzanki mogą nam oddać dużą usługę przy obiedzie. Wyobraźmy sobie np. że mamy przygotowaną odpowiednią do ilości osób w domu ilość befsztyków z polędwicy i nagle przychodzi ktoś na obiad. Mama musi bawić gościa a obiad trzeba nagwałt gotować. Wtedy krajemy z bułki grzaneczki kwadratowe o boku mniej więcej 3 mm, i na takież kawałki dzielimy plasterki polędwicy. Przygotowujemy ostry sos z marynowanemi grzybkami lub korniszonami i trzymamy go w małym rondelku na blasze, aby był gorący. Na gorące masło rzucamy grzaneczki, rumienimy je z obu stron i następnie zsypujemy na blaszany lub ogniotrwały półmisek i wsuwamy pod blachę, aby nie wystygły. Wtedy szybko obsmażamy na bardzo gorącem maśle kawałki polędwicy, tak, żeby jej nie wysuszyć. Solimy ją lekko dopiero na patelni, aby nie stwardniała. Każdy kawałek układamy na grzance i wszystko zalewamy sosem.

Sos przygotowuje się następująco: łyżkę masła roztapiamy na patelni i mieszamy z łyżk mąki. Następnie odstawiamy od ognia i wlewamy 3 łyżki zimnej wody, mieszamy dokładnie, aby nie było grudek, dolewamy jeszcze wody, aby sos był jak rzadka śmietana i zagotowujemy mieszając. Jeśli po zagotowaniu za gęsty, znowu dolewamy wody i zagotowujemy. Wrzucamy pokrajane w paseczki grzybki, czy korniszony, solimy i dodajemy w razie potrzeby cytryny do smaku. Sos powinien być wyraźnie ostry.

**Warunki prenumeraty:** rocznie — zł. 10.—. półrocznie — zł. 5.—, kwartalnie — zł. 2.60. miesięcznie — zł. 1.—
**Cena ogłoszeń:** strona dzieli się na 4 łamy. Szerokość 1 łamu 54 mm. 1 mm w łamie 60 gr. Cała strona 720.— zł.

OGŁOSZENIA PRZYJMUJĄ Biuro Ogłoszeniowe Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40, Rudolf Mosse, Marszałkowska 124. „PAT", Królewska 5. F. Pietruszek, Marszałkowska 115. Polska Agencja Publicystyczna, Marszałkowska 95. Międzynarod. Biuro Ogł., Senatorska 29. „Ruch", Wydz. Ogł., Poznańska 68. Jan Apte, Zielna 26. „Par", Bracka 17. „Merkury", Królewska 49. Kraków „Par", Rynek 46. Cieszyn Rudolf Pszczółka, Rynek. Katowice „Par", Poprzeczna 8. Lwów „Par", Akademicka 14. Łódź Fuchs, Piotrowska 50. Poznań Pol. Agencja Rekl. „Par" 27 grudnia 18. Wilno Biuro Jutina Niemiecka 14. Gdańsk „Devera" Kohlenmarkt 10.

Redaktorka Hanna Januszewska Moszyńska — Wydawca Tow. Wyd. „BLUSZCZ"

Redakcja Administracja **Solec 87, tel. 244-18 i 787-03.** — Konto P. K. O. Nr 18.800

Redaktorka przyjmuje w poniedziałki i środy od godz. 11 do 13

Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszcz", Sp. z ogr. odp. Warszawa, Solec 87. Tel. 787-03.